

VarArt

pismo kulturalno-literackie
NR 04/2018 (41)


WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE

www.wbp.olsztyn.pl

MIĘDYPOL
LEGŁOŚĆ



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Niepodległość w świecie przyrody

Czy niepodległość może być przyczyną rozpadu? Taką wewnętrzną i systemową? Świat przyrody jest bogaty w swej różnorodności i może być dobrą inspiracją do niepodległościowych rozważań. A że świat ożywiony istnieje już parę miliardów lat, to i przykładów można znaleźć wiele.

Życie biologiczne uzyskało „niepodległość” wraz z powstaniem błony komórkowej, oddzielającej komórkę od świata zewnętrznego i dającej komórce samodzielność oraz częściowo izolującą granicę. A potem był wzrost i ewolucja. I ciągła utrata tak rozumianej niepodległości, samodzielności, suwerenności poprzez relacje w układach ekologicznych, poprzez nieustanną integrację z innymi w biosferze. Ale można na to spojrzeć jeszcze inaczej, jako na rozrastającą się „niepodległość” i włączanie do systemu ożywionego coraz większej liczby elementów. Wzrost, różnicowanie się i doskonalenie organizacji. Od małej komórki prokariotycznej do całej ziemskiej biosfery.

Rodzi się komórka (tylko z innej komórki). Dostrzegamy samodzielny byt, który rośnie i rozpadła (dzieli) na mniejsze komórki potomne. Wszystko za sprawą praw fizyki i organizacji. Budowa danej komórki-organizmu wydaje się optymalna. Dobrze żyje w swoim środowisku, jest przystosowana. Ale, gdy rośnie, to wielkość (np. długość) zwiększa się liniowo. Jednocześnie jej powierzchnia zwiększa się do kwadratu (a więc szybciej i bardziej), a objętość do sześcianu (czyli jeszcze bardziej i nieproporcjonalnie). I wtedy pojawiają się dodatkowe problemy. Wymiana tlenu czy innych substancji ze środowiskiem odbywa się przez powierzchnię komórki. Wraz ze wzrostem szybciej zwiększa się objętość niż jej powierzchnia i wtedy wymiana gazowa (lub innych substancji) przez błonę komórkową może stać się niewystarczająca. Wzrost zmienia wiele w funkcjonowaniu. I albo na drodze ewolucji pojawiają się nowe struktury (np. u organizmów wielokomórkowych skrzel i płuca, znacząco zwiększające powierzchnie wymiany), albo... organizm się dzieli. W jakimś sensie rozpadła na dwa i więcej potomnych. I proces się powtarza. Chyba że zajdzie integracja... czyli w jakimś sensie nastąpi utrata części „niepodległości” (samodzielności, autonomii).

Często jednokomórkowe organizmy tworzą kolonie. W grupie łatwiej i bezpieczniej. W takiej kolonii pojedyncza komórka jest tylko elementem o częściowo utraconej samodzielności i „niepodległości”. Swoje funkcje musi dostosować do potrzeb całej kolonii, dzielić się dobrodziejstwami natury i wspierać pozostałe elementy w chwilach trudnych. A jeszcze większa integracja takich pojedynczych komórek nastąpiła z chwilą ewolucyjnego powstania organizmów wielokomórkowych. Większa integracja to w jakimś sensie mniejsza niezależność, mniejsza niepodległość. Ale i większa współpraca.

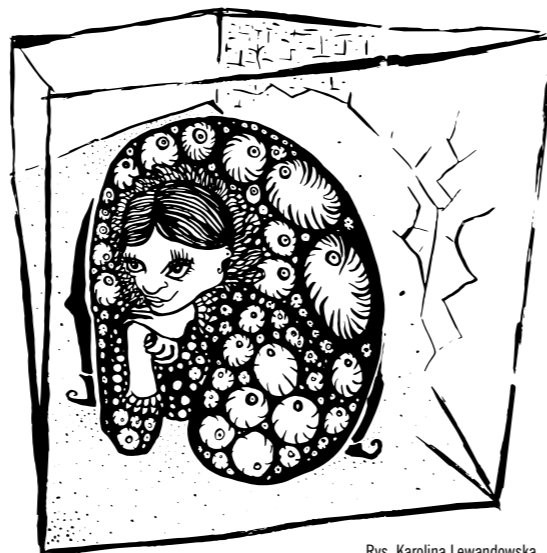
Nie żyjemy w pustce i samodzielności doskonałej. Nawet nasz ludzki organizm na wiele sposobów uwikłany jest w relacje z innymi. Ot chociażby relacje społeczne i mniejsza czy większa współpraca z innymi ludźmi. Albo wrogość i agresja. Uzależnieni jesteśmy także ekosystemowo zarówno od organizmów (gatunków), które są dla nas pokarmem,

jak i od gatunków pasożytniczych, chorobotwórczych. Co więcej, mocno związani jesteśmy z mikroorganizmami, które żyją w naszym przewodzie pokarmowym, na skórze oraz w tkankach. Korzystamy z cudzych genów, tych bakteryjnych i innych mikroorganizmów. Bioldzy ukuli pojęcie hologenomu. Sami byśmy już nie przetrwali.

W takiej biologicznej perspektywie i analogii utrata części samodzielności może być rozpatrywana jako postęp oraz powstawanie bardziej złożonych układów, organizmów lepiej radzących sobie z niesprzyjającymi okolicznościami środowiska. Paradoksalnie możliwa jest większa niezależność od świata zewnętrznego przez integrację. W tym kontekście świat zewnętrzny jest rozpatrywany szeroko. Niepodległość na wyższym poziomie złożoności.

A skoro wtykam kij w mrowisko, to wspomnijmy o owadach społecznych, takich jak pszczoły, osy, termity czy mrówki. W jakimś sensie każdy osobnik z tej społeczności (rodziny) traci część swej niezależności, autonomii, swoiście rozumianej niepodległości, na rzecz całej owadziej społeczności. I mrówka-robotnica broni niezawisłości z narażeniem swojego życia, tyle że dla całej kolonii, dla całego mrowiska, a nie dla siebie.

W jakimś sensie ludzkość podobnie się łączy w coraz większe struktury (a mniejsze systematycznie tracą niezależność, strukturalną i funkcjonalną odrębność). Od hordy i plemienia o kilkuset osobnikach poprzez księstwa i królestwa liczące tysiące osób aż po państwa z milionami obywateli. A teraz tworzymy międzynarodowe organizacje i unie liczące miliardy ludzi. Sytuacja dla nas ewolucyjnie i społecznie nowa. Niepodległość przesuwana na coraz wyższy poziom. I bez zrzeczenia się części narodowej suwerenności nie rozwiążemy globalnych problemów, zagrażających nam wszystkim. Przykładem niech będzie globalne ocieplenie. Albo razem, albo jako ludzkość nie przetrwamy.



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 04/2018:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Niepodległość w świecie przyrody

04 ROZMOWAZ GOŚCIAMI SPOTKANIA rozmawia IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK
40 odsłon pisma „VariArt”**08 PROZA**

KATARZYNA MATWIEJCZUK: Matka podróż

10 POEZJA

LIANBIN NI

12 LITERATURA

ARKADIUSZ ŁUBA: Zbigniew Herbert w Berlinie

14 POEZJA

GRUPA LITERACKA BARCJA

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA**16 GALERIA**

WOLNOŚĆ – WOLNA FORMA – wystawa w BWA w Olsztynie

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

ANNA KOWALSKA: Dywanik

20 INICJATYWA

KRZYSZTOF KOSSAKOWSKI: Stowarzyszenie Wspólnota Mazurska

22 FELIETON

MAGDALENA SPICZAK-BRZEZIŃSKA: Co ma konik do Kościuszki

23 REGION

ANDRZEJ MARCINKIEWICZ: Dekada w budowie

24 LITERATURAMONIKA STĘPIEŃ: Komu ja *Piszę Olsztyn***25 INICJATYWA**

RADOSŁAW GROSFELD: Sto lat, sto twarzy

26 OPINIE

STUDENCI DZIENNIKARSTWA na temat WOLNOŚCI

28 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: Do Matki Niepodległości podchodź bez bicza

29 WSPOMNIENIA

ZOFIA DROZD: Mój brat podporucznik

30 HISTORIA

ANITA ROMULEWICZ: Chtopiec mimoza i duroczka

Przeszedł listopad i temat niepodległości jakby nożem uciął, a przecież nasza niepodległość to nasza codzienność. W ostatnim, tegorocznym numerze „VariArta” chcieliśmy przyjrzeć się temu zagadnieniu. Zrobić małą retrospekcję tego, co się działo

w kulturze.

Jak na awangardę przystało, temat niepodległości pojawił się również w sztuce. W samym środku „VariArta” pokazujemy galerię z wystawy „Wolność – Wolna forma” zorganizowanej przez artystów Aresztu Sztuki w BWA w Olsztynie. W numerze znalazły się także prace i wypowiedzi autorów o tym, czym dla nich jest wolność. Definiują ją również studenci dziennikarstwa UWM. O prezentacji 100 portretów olsztyniaków na stulecie niepodległości pisze Radosław Grosfeld z MOK-u. Niepodległość w świecie przyrody? O tym, czy możliwa i na jakich zasadach, wypowiada się oczywiście Stanisław Czachorowski.

Rok 2018 to nie tylko niepodległa, lecz także rok Zbigniewa Herberta z okazji 20. rocznicy jego śmierci. O wydarzeniu, które z tej okazji odbyło się w Berlinie, pisze nasz korespondent Arkadiusz Łuba.

10 lat to w kontekście stulecia mało, ale dla naszej redakcji i wydawcy dekada to okres, o którym piszemy w kontekście 10-letniego istnienia pisma oraz rozpoczęcia i zamknięcia inwestycji rozbudowy biblioteki.

Rocznice, rocznice, rocznice.

A życie toczy się dalej...

Redakcji także...

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 04/2018 (41)

Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
<http://aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart>; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciag, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Z GOŚCMI SPOTKANIA JUBILEUSZOWEGO rozmawia IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK 40 ODSŁON PISMA „VARIART”

Iwona Bolińska-Walendzik: Marta Chyła-Janicka – absolwentka Liceum Plastycznego w Olsztynie, polonistka, absolwentka łódzkiej filmówki, skończyła tam reżyserię filmów animowanych, należała również do grupy Olsztyn Wschodni. Za film „Ostatni pokój” dostawała zagraniczne nagrody (w Kanadzie i USA), a jak się czujesz z nagrodą, którą właśnie otrzymałaś w Olsztynie – „Talent roku”?

Marta Chyła-Janicka: Bardzo mi miło, że zostałam wyróżniona w swoim mieście, że otrzymałam nagrodę „Talent roku”. Do tej pory byłam doceniona w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, a teraz mogę się pochwalić, że doceniono mnie w Europie (śmiech). I po prostu cieszę się. W ten sposób działa Stowarzyszenie Pro Kultura i Sztuka, które mi przyznało nagrodę, wyróżnia osoby, które albo nie dostały nagrody na Warmii i Mazurach, a są docenione gdzieś w świecie, tak jak w moim przypadku, albo inspirują inne osoby do działania. To ważna i potrzebna inicjatywa.

IB-W: Spotkaliśmy się z okazji jubileuszu 10 lat istnienia pisma „VariArt”. Minęła dekada. Nie wydaje ci się, że Twój fileton z pierwszego numeru „VariArta” z 2008 roku był napisany wczoraj?

MCh-J: To był taki pseudoporadnik na temat „Jak znieść jesień i jak się nie dać jesienemu splinowi”. Tekst był pisany w typowym dla mnie poczuciu humoru. I myślę, że jest dość aktualny, bo pisałam, że warto zbierać kasztany i oddychać głęboko, i suszyć liście. Było też trochę o Olsztynie – że powstaje nowe centrum handlowe, że oprócz Aury będzie gdzie chodzić. Jakbym napisała to wczoraj, prawie. Galeria Warmińska stoi już od dawna, ale powstają kolejne atrakcje, co za ulga.

IB-W: W numerze 1/2008 pojawił się nie tylko Twój fileton. Była też tylna okładka z humorystyczną zabawą „Zostań stylistą... baby pruskiej” czy Twój ciekawy biogram pod tekstem o grupie Olsztyn Wschodni. Działałaś wtedy w takiej grupie i razem z kilkoma osobami wywoływaście ferment literacko-artystyczny. W pewnym momencie wydawało się, że jest to ruch, który będzie początkiem czegoś. I czy faktycznie coś się z tego zrodziło?

MCh-J: Olsztyn Wschodni to była grupa, która powstała dość spontanicznie w gronie znajomych i przyjaciół z polonistyki. Wzorem grup artystycznych z dwudziestolecia postanowiliśmy założyć swoją. Dookoła tej grupy orbitowały osoby, które zajmowały się literaturą, filmem i malarstwem. Nie mieliśmy żadnej myśli przewodniej, chodziło nam głównie o to, żeby tworzyć ferment. I każdy tak naprawdę robił swoje. Nigdy nie byłam zwolenniczką grup, zrzeszeń, fanką sportów zespołowych. Nawet kiedy byłam w wieku szkolnym, w klasie wszyscy uczniowie byli w harcerstwie oprócz mnie. Tak samo w tej grupie – raczej byłam obserwatorką, a potem wyjechałam do Łodzi. Ale wiem, że Olsztyn Wschodni działał dość prężnie, nawet był Konkurs Literacki im. Marii Janion,

która zgodziła się patronować mu. Część grupy uczestniczyła w manifestacjach poetyckich. Coś ciągle się działo. Ale raczej każdy sobie rzepkę skrobał. A teraz z Olsztyna Wschodniego przyszedł jeden reprezentant. Każdy ma swoje, inne działania – malują mieszkania, zajmują się dziećmi. Nie ma już tej grupy, ale chęć dalej pozostała. To był taki młodzieńczy zryw, potrzeba bycia w grupie i robienia czegoś ważnego. I myślę, że to się wpisywało w tematykę „VariArta”. Olsztyn Wschodni zawierał rozmaite prądy, był otwarty na eksperymenty artystyczne. Myślę, że dlatego znaleźliśmy się w pierwszym numerze „VariArt” – piśmie sztuk różnych.

IB-W: Przemek Kozak – grafik, autor m.in. oprawy graficznej kilku edycji Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. W dużej mierze wygląda „VariArta” to jego zasługa. Przemku, współpracujesz z redakcją od samego początku, jesteś autorem layoutu i okładek.

PK: Czterech numerów nie robiłem (śmiech).

IB-W: To prawda, na moment w 2014 roku się rozstałiśmy. Przemku, którą okładkę „VariArta” najbardziej lubisz, czy masz taką? Rozmawialiśmy niedawno o tym, że kilka z nich powiesicie u siebie w firmie w jednym z pomieszczeń.

PK: (Śmiech) Tak. Najbliższe mi są takie okładki-znaki, które bardziej działają jak logotyp. Jedną z nich to bodajże z hasłem przewodnim *Quo Vadis* (4/2016), taka bardzo linearna, delikatna. To jest chyba ta okładka, którą najbardziej lubię. Praca nad każdym „VariArtem” jest dla mnie wyzwaniem, bo dostaję od was hasło, na które muszę w jakiś sposób odpowiedzieć, znaleźć intrygę.

IB-W: Zgadza się, czasami koleżanki, oprócz hasła, proszą na przykład o kolor: „Musi być żółta, powinna być zielona, dawno nie była turkusowa”.

PK: A ja i tak robię po swojemu (śmiech).

IB-W: Jednak czasem się nas słuchasz. Chcemy zajaczkę i, proszę, wyskakuje z okładki prosty, linearny królik (3/2018). Chcieliśmy Olsztyn Wschodni i mamy pociąg na stacji „Olsztyn Wschodni”. Czy 10 lat tworzenia okładek dla jednego pisma nie zmęczyło cię, czy coś się zmienia w Twoim stylu?

PK: Na co dzień zajmuję się reklamą, komercyjnymi projektami. Z „VariArtem” jest fajna sytuacja, bo mogę sobie po prostu pozwolić na trochę szaleństwa i odejść od reklam karm dla psów, armatury, różne się rzeczy robi. A tutaj jest zawsze jakaś forma wyzwania artystycznego i intelektualnego, mogę dać coś od siebie, tak po prostu. Lubię to. Z racji tego, że zagadnienia są różne, próbuję za każdym razem trochę inaczej podejść do danego zadania – raz bardziej działałam znakiem, raz bardziej malarsko, raz bazując na zdjęciach lub na ręcznej robotce. Teraz, po dziesięciu latach, może zastanowiłbym się nad

zmianą znaku graficznego pisma, nad jakimś liftingiem. Może bym dodał jeszcze trochę więcej awangardy do „VariArta”.

IB-W: Trzymamy Przemka za słowo. Jeżeli będziemy kontynuować w kolejnych latach wydawanie pisma, pomyślimy o jego liftingu.

Są z nami redaktorzy innych mediów:

Marek Barański – redaktor „Gazety Olsztyńskiej”, poeta, który w „VariArcie” pojawił się kilka razy. Raz jako poeta, z krótkim wierszem w 2014 roku, ale napisał też parę felietonów do „VariArta”. „Węgały pepkiem świata”, „Mazury nominowane do Oscara”, „Nić Ariadny, czyli kłębki Jałowca” – skąd tak różne tematy?

Marek Barański: Akurat dwa, które wymieniałś, to teksty o moich przyjaciółach. Ten ostatni to sprawa niezwykle ciekawa. Wybrałem „VariArt” do jego publikacji (nr 2/2018), bo na kredowym papierze dobrze wychodzą czarno-białe rysunki. Są to prace mojego kolegi z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, prof. Kazimierza Jałowczyka, który podjął nowatorską próbę narysowania książki obrazkowej o życiu studentów UMK w pierwszej połowie lat 70. Bohaterami tego jakby komiksu są między innymi znani olsztyńscy artyści, moi koledzy z akademika, Bury – Tadeusz Burniewicz i Wiesiek Wachowski. Wtedy studenci prawa i sztuk mieszkali w tym samym akademiku. W komiksie są różne scenki z życia studenckiego, jak to, że Bury, który trenował zapasy, kładzie na łopatki profesora malarstwa. W Polsce nie było jeszcze takiej książki. Nasz kolega Jałowiec pracował nad nią ze dwa lata. Pomyślałem sobie, że „VariArt” będzie taką witrzyną, w której go zaprezentujemy. Troszkę miałem pretensje do redakcji, że te obrazki wyszły za małe.

IB-W: Niestety, musimy zmieścić w piśmie różne rzeczy, stąd nie za duży format ilustracji.

MB: Integralną częścią książki obrazkowej Jałowca jest tekst. Nie ma dymków z dialogami, jak w tradycyjnym komiksie. Z lewej strony Jałowiec umieścił tekst, który napisał kunsztowną literą, a z prawej strony klatkę obrazkową. Natomiast Teatr Węgały jest moją miłośnią, odkąd istnieje. Mam szczęście znać Wacka Sobaszka jeszcze od końca lat 70., kiedy w Olsztynie działał w Pracowni przy SKK Pojezierze. Jak ona się nazywała? (przy-pomina sobie z pomocą Ewy Mazgał) Interdyscyplinarna Placówka Twórczo-Badawcza! W każdym razie to była placówka artystyczna, którą profesor Aldona Jawłowska w swojej słynnej książce „Więcej niż teatr” umieściła obok Teatru Laboratorium Grotowskiego jako kolejną próbę tworzenia kultury alternatywnej w Polsce w owym czasie. Z Pracowni zrodził się Teatr Węgały. Jeździę do nich od lat i ich podziwiam. Mutka i Wacek to jest niestychana para, wspaniali artyści, ciągle pełni optymizmu, w doskonałej kondycji fizycznej i artystycznej. To wielka przyjemność pisać o przyjaciółach, którzy są artystami. Lubię to robić.

IB-W: W takim razie, czym dla Ciebie jest „VariArt”?

MB: Taką witrzyną, gdzie można pewne rzeczy jeszcze umieścić. Choć ubolewam, że „VariArt” nie ma więcej stron, że nie jest obszerniejszy i papier zbyt błyszczący.

IB-W: Ewa Zdrojowska – dziennikarka radiowa związana z Radiem Olsztyn, swoje nagrania emitowała również w radiowej Jedynce, Trójce i Czwórce. W „VariArcie” pojawia się zazwyczaj z wywiadami. Były to rozmowy np. z Kirą Gałczyńską, Katarzyną Citko (laureatką Orfeusza Mazurskiego), Agnieszką Kosińską...

Ewa Zdrojowska: ... z Tomaszem Venclovą i chyba mój związek z „VariArtem” właśnie od publikacji tego wywiadu się zaczął... Chociaż nie, w listopadzie 2008 roku poproszono mnie o poprowadzenie spotkania promującego pierwszy numer pisma. Wśród gości była wtedy pani Marta, z którą rozmawiałam o Olsztynie Wschodnim. Idąc na dzisiejsze spotkanie, zastanawiałam się, dokąd dojechała z tego Olsztyna Wschodniego? Teraz już wiem, że do Las Vegas. Pamiętam, że w pierwszym numerze pisma była fotorelacja z tytułowana: „Przebudowa i modernizacja struktury zabytkowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie dla celów kultury”. Brzmi urzędowo, ale dzisiaj już mamy zakończoną tę inwestycję, prawda?

IB-W: Dokładnie, po 10 latach udało się ją ukończyć. Dziękuję za tę klamrę, bo faktycznie w październiku tego roku oddaliśmy budynek biblioteki przy ul. 1 Maja 5. Inwestycja opisana w pierwszym numerze trwała tyle lat, ile działamy z „VariArtem”. Ewo, wracając do Twoich wywiadów, zdradz nam, czy trudno przełożyć nagranie radiowe na język pisany? Czym różni się jedna forma od drugiej?

EZ: Wywiad radiowy ma często formę swobodnej rozmowy, bywa, że bez dbałości językowej, co jest istotne w wypowiedziach pisemnych. Wywiad radiowy to forma, w której rozmawiający swoje emocje zaznaczają intonacją, sposobem mówienia, pauzowaniem. Dźwięk nie pozostawia wątpliwości. Wywiadowi prasowemu ostateczny kształt nadaje dziennikarz.

IB-W: Ewo, czy Twoim zdaniem potrzebne jest takie pismo jak „VariArt”?

EZ: Oczywiście. Podoba mi się szata graficzna pisma i jego zawartość. Cieszy obecność na łamach pisma Galerii, w której prezentowane są prace artystów związanych z naszym regionem. Chciałabym też, aby „VariArt” był przyjazny debiutantom, ale i pamiętał o tych znanych i uznanych już autorach prozy i poezji, aby to „VariArt” dostarczał nam wiedzy o nowościach literackich.

IB-W: Anna Rau – redaktorka m.in. „Portretu”, blogerka, bibliotekarka, niemal od początku w redakcji „VariArta”. Od 2009 do 2014 roku autorka variartowego *Fotomontera*, jak nazywała publikowaną na drugiej stronie każdego numeru zabawę literacką. Aniu, skąd pomysł na *Fotomontera*, który rozpoczął przez wiele lat każdy numer?

Anna Rau: Idea, która stworzyła *Fotomontera*, była raczej edukacją i promocją zbiorów bibliotecznych w literackiej formie niż samą literaturą. Uznaliśmy, że to świetny pomysł, aby w takim medium promować biblioteczny zasób archiwalnych zdjęć regionu. Mamy ich kilka tysięcy – to fotografie z PRL-u wczesnego i późnego, trochę sprzed wojny,

wiele z czasów współczesnych i przedstawiają one obiekty zabytkowe i zwyczajne, sceny rodzajowe i życie codzienne w Olsztynie oraz innych miejscowościach Warmii i Mazur. Do każdego numeru „VariArta” brałam więc jakieś zdjęcie pasujące do tematyki numeru i pisałam do niego opowiadanie. Oczywiście „opowiadanie na motywach”. Podam przykład: fotografia przedstawiająca nowo powstałe osiedle „Kormoran” przy Stadionie OSiR, a właściwie tylko dwa bloki tak nowe, że jeszcze niepomalowane w paski (bo dawniej te budynki były tak pomalowane). I wokół nich nie widać nic – żadnego parku czy innych budynków – tylko ośnieżoną przestrzeń. Zainspirowało mnie to do napisania opowiadania o dwóch Eskimosach, którzy przyjechali do Olsztyna na wczasy. Zwiedzanie naszego miasta było dla nich doświadczeniem absurdalnym, gdyż Warmia dla Eskimosów to zupełnie obcy, niezrozumiały świat, w którym nie ma fok i niedźwiedziego mięsa, a śniegu jest tylko trochę. Cały ten wątek wygenerowało owo zdjęcie – czarno-białe, przedstawiające dwa pojedyncze budynki w pustce – gdyż według mnie emanowało takim właśnie nastrojem wyobcowania i absurdu. Było też zdjęcie z późnych lat 40., które przedstawiało pewnego olsztyńskiego artystę. Artystę bezimiennego, ponieważ nawet darczyńca fotografii nic więcej o tym człowieku nie wiedział. Pamiętał tylko tyle, że ten człowiek mieszkał tuż przy Dworcu Zachodnim, a samo zdjęcie zrobił tak ad hoc, kiedy jeszcze był bardzo młody. Fotografia zatrzymała chwilę, w której ów artysta lepił ze śniegu trójgłowego smoka. Ta scena zainspirowała mnie do napisania opowiadania o tym, jak będzie wyglądał koniec świata w Olsztynie. W tekście ostatni mieszkaniec Olsztyna (bo reszta populacji została zmieciona z powierzchni ziemi przez latającego i ziejącego ogniem smoka) przez całe opowiadanie smuci się, gdyż w pewnym sensie zmarował swoje życie. Bohater wymienia i rozpamiętuje, co też mógł robić – a czego nie zrobił, zajęty jakimiś obowiązkami lub sprawami, których nie musiał i nie chciał robić. A tymczasem ostatecznie nie zostało już nic, a on jest ostatnim człowiekiem w Olsztynie i prawdopodobnie na Ziemi.

I takie właśnie były *Fotomontery* – luźne interpretacje zdjęć z zasobów WBP w Olsztynie. Ukazywały się regularnie, z numeru na numer, przez wiele lat. Oprócz tego pisałam recenzje regionalnych książek, najczęściej tomików poetyckich, czy relacje z wydarzeń kulturalnych. Jednym słowem typowa praca redakcyjna – jak wszyscy w „VariArcie”. Do pewnego czasu robiłam również korekty numerów. To wszystko było naprawdę satysfakcjonującą i dobrą pracą. I nadal jest – bo przecież „VariArt” trwa. Format i koncepcje zmieniają się, jak wszystko z czasem, ale jakoś się nie zmieniła. Zawsze ten sam równy, wysoki poziom.

IB-W: Aniu, a dlaczego zniknął *Fotomonte*?

AR: Chyba wszyscy, którzy piszą, mogą potwierdzić, że po pewnym, dłuższym czasie pojawia się literackie wyczerpanie jakąś formą. Po 6 latach nagle stwierdziłam, że mam problem z wymyśleniem kolejnych odcinków. A raczej, że to, co wymyślam, już nie jest tak świeże czy „nowe” jak poprzednie. Trzeba było więc formułę zamknąć z honorem, a na jej miejsce dać coś, co będzie budzić entuzjazm i u piszącego, i u czytelników. Podobna sytuacja zresztą zaistniała w drugim cyklu „VariArta”, czyli w „Szkicach z obrazkiem” Dariusza Szymanowskiego. Dariusz przez wiele lat co numer interpretował jakiś znany

obraz z zakresu sztuki europejskiej, czyli pisał do niego swój fantastyczny treściowo i jakościowo tekst. I ten cykl również w którymś momencie się skończył z tego samego powodu. Ale to nic strasznego – przyszli nowi ludzie (a niektórzy wrócili w nowej odsłonie) i nowe formy oraz tematy, a „VariArt” ciągle dobrze i literacko się kręci. Ewolucja to podstawa.

IB-W: Stanisław Czachorowski – ekolog, hydrobiolog, entomolog, prof. UWM. W 2014 roku usłyszałam jego wstęp do wystawy Elwiry Iwaszczyszyn w Radiu Olsztyn. Było to przewrotne połączenie ptasiego świata ze sztuką. I mniej więcej wtedy zaproponowaliśmy, żeby Pan Profesor wprowadził trochę biologii do „VariArta”. Moje pytanie brzmi tak, jak tytuł pierwszego felietonu z cyklu „Kij w mrowisku” – „Po co naukowiec w kulturze?” (1/2014)

Stanisław Czachorowski: Czyli kobiety wszystko pamiętają! Ja bym nie pamiętał, skąd to się wszystko wzięło. Zadanie było trudne, bo felietony miały być antagonizujące, czy wywołujące dyskusję, bo po to wkłada się kij w mrowisko, żeby coś się działo. Chciałem zawsze przemycić element biologiczny, żeby przy okazji było coś edukacyjnego. Pokazanie innego świata, może nie tylko smoki, ale coś jeszcze z tego małego świata owadów. Nie wiem, czy się udało kiedykolwiek chruścika wpleść, ale inne owady na pewno były. Co naukowiec robi w piśmie kulturalno-literackim? Wiele lat temu, jeszcze na WSP, różni ludzie mówili nam, dlaczego was z uczelni tak mało jest w przedsięwzięciach kulturalnych w mieście? Że się izolujemy, zamykamy w Kortowie. I to mi mocno utkwilo. Wydaje mi się, że nauka jest częścią kultury. To też jest literatura faktu, może inaczej patrzmy na świat wokół nas, ale to też jest kultura. Zwłaszcza najnowsze osiągnięcia naukowe i technologiczne wywołują ferment i zaciekawienie. Niedawno jakiś Chińczyk poprawił geny w zarodku człowieka, więc o tym się mówi. Poza tym próba przeniesienia elementów wiedzy ścisłej do kultury i wspólne podyskutowanie jest wymagające, bo trzeba to opowiedzieć inaczej, bez słownictwa specjalistycznego. Dla mnie jest to bardzo inspirujące, bo to coś w rodzaju kolokwium, tylko tym razem to ja jestem w roli studenta. Jest zadanie (niczym temat na egzaminie): kobieta, pogranicze, niepodległość itp. I trzeba znaleźć związek z przyrodą.

IB-W: Osób, które związane są w jakiś sposób z „VariArtem”, jest naprawdę wiele. W drugim numerze z 2015 próbowaliśmy wymienić wszystkie. Już wtedy nazwiska zapisane drobnym maczkiem zajęły pół strony. Na zasadzie zabawy przyznaliśmy wtedy naszym współpracownikom medal Virtuti Variartaris. Od tego czasu minęły 3 lata i lista wciąż się rozrasta. A na koniec osoba, która na taką odznakę zdecydowanie zasługuje:

Krzysztof Szatrawski – poeta, prozaik, krytyk muzyczny i literacki, prof. UWM. Krzysztofie jesteś z nami od początku, a od 2016 roku również w redakcji, w której roli najlepiej się czujesz: poety, krytyka muzycznego, tłumacza czy autora wywiadów?
Krzysztof Szatrawski: Nie czuję się najlepiej w roli człowieka robiącego wywiady, jest to może najbardziej niewdzięczna, najtrudniejsza praca z tego wszystkiego, co w życiu



robiłem. Natomiast robię wywiady, dlatego że uciekam przed depresyjnym aspektem badań historycznych. Mniej więcej lat temu 12, w 2006 roku, obiecałem, że napiszę książkę o historii olsztyńskiej Państwowej Szkoły Muzycznej. Obiecałem, ale nie byłem w stanie tego zrobić. Kiedy zacząłem badać archiwa, kiedy zacząłem się przebijać przez wszystkie dokumenty, znalazłem wśród nich tysiące zdjęć ludzi, bardzo często nieopisanych zdjęć, ale ja tych ludzi znam, a były to zdjęcia muzyków, którzy mnie później uczyli, których bardzo często nie ma już wśród nas, i na tych zdjęciach widziałem ich jako 16-, 17-latków. Kiedy widziałem pełnych nadziei, często zakochanych młodych ludzi, ale równocześnie zdawałem sobie sprawę, jak wyglądały ich późniejsze losy, zacząłem wpadać w depresję i nie byłem w stanie napisać tej książki. I kiedy już zdałem sobie sprawę, że nie mogę tego napisać, pomyślałem, że może nie ma sensu pisać tej historii na podstawie archiwów. Może lepiej jest, póki jeszcze żyją ci ludzie, rozmawiać z nimi, rejestrować ich punkt widzenia na rzeczywistość i w ten sposób zachowywać przy życiu przynajmniej ten moment. Takie były początki wywiadów. Teraz mam następny pomysł. Udało mi się zrobić taki jeden wywiad z Marią Urbanek, którego bohaterem był Roman Urbanek i jestem bardzo szczęśliwy, że udało mi się tę rozmowę opublikować. Ale są ludzie, którzy odeszli i nie bardzo jest już z kim o nich rozmawiać, dlatego że ich najbliższych też już nie ma wśród nas. Pamiętają ich jeszcze uczniowie, tak jak na przykład Iżę Garglinowicz. Mogę przyprowadzić setki osób, które pamiętają ją bardzo dobrze i zazwyczaj te osoby opowiadają różne wersje 4-5 anegdot. Bo te anegdoty charakteryzują postaci, ale to nawet nie jest materiał na wywiad, tak mało konkretno, a przecież to były osoby, które zadecydowały o kształcie olsztyńskiej kultury. Wywiady to za każdym razem osobny problem, nie jestem profesjonalnym dziennikarzem, więc to wymaga ode mnie o wiele więcej wysiłku. Poza tym nigdy nie jestem pewny, w jakim stopniu mogę ingerować w wypowiedź człowieka, dlatego że zupełnie inaczej brzmi język mówiony, a inaczej wygląda w piśmie, więc zapis trzeba tak zredagować, żeby w lekturze brzmiał naturalnie. Trochę to przypomina pisanie dialogu do filmu. Ten dialog powinien brzmieć. To kolejny problem, żeby uchwycić językowy charakter

rozmówcy, a nie wymyślać słów, których on sam by nie użył. Więcej znaków zapytania niż odpowiedzi, więc jeśli chodzi o wywiady, bez przerwy szukam. Czy dobrze się czuję jako krytyk muzyczny? Napisałem w życiu ponad 1000 recenzji muzycznych, więc nie wiem, czy mogę powiedzieć, że dobrze lub źle się czuję, recenzując. Po prostu słucham dużo muzyki i czasami chcę innym ludziom powiedzieć: posłuchajcie, jakie to jest fantastyczne. Z tych ponad 1000 recenzji większość była poszukiwaniem cech fantastycznych... Tylko 4, dosłownie 4, były zdecydowanie negatywne. Wszystkie pozostałe, nawet jeśli zawierały jakieś słowa krytyki, to były tak zakamuflowane, żeby sam artysta wiedział o tym, że mi się coś nie podoba. Natomiast słuchacze otrzymywali jednak pozytywny przekaz: warto tego słuchać, warto było być na tym koncercie. I to jest chyba moje credo, jeśli chodzi o krytykę muzyczną.

IBW: Jeszcze jedno pytanie. Z ilu języków przetłumaczone są wiersze zagranicznych poetów opublikowane przez Ciebie w „VariArcie”?

KSz: Już liczę. Z sześciu. Tak? Z angielskiego, to był pierwszy w ogóle, rosyjskiego, niemieckiego, hebrajskiego, litewskiego, rumuńskiego, to są te, które były opublikowane. Rumuński okazał się fantastycznym językiem, wcale nie takim trudnym. To jest język bardzo bliski włoskiego. A w tej chwili zmagam się z chińszczyzną. Nawet mam skończony kurs i otrzymałem certyfikat, że znam język chiński. Ale, nie, nie znam języka chińskiego, także spokojnie, jeszcze trochę wyzwać przede mną...

IBW: Dziękuję wszystkim za rozmowę, do zobaczenia na łamach kolejnych wydań pisma kulturalno-literackiego „VariArta”.

Rozmowy odbyły się podczas spotkania jubileuszowego z okazji 10-lecia pisma „VariArt” 5 grudnia 2018 roku w Starym Ratuszu WBP. Między rozmowami występował Sławomir Prabucki, autor piosenek, które były publikowane w numerze 2/2018.

KATARZYNA MATWIEJCZUK MATKA PODRÓŻ

Po fińsku „matka” znaczy „podróż”. To nie będzie jednak opowieść o podróży do Finlandii, gdzie spędziłam kiedyś piękne polarne lato za kołem podbiegunowym, gdzie widziałam najpiękniejsze czerwone niebo o drugiej w nocy, podziwiałam wszystkie odcienie mchu, milczący las, szukałam na bagnach żółtych malin o smaku pieczonych jabłek, gdzie gdy drzemałam w trawie, przebiegł obok mnie renifer, gdzie przez cały miesiąc znalazłam w lesie tylko jeden śmieć i przez cały miesiąc nie bolała mnie głowa, gdzie ludzie nie zamykają drzwi i nie terroryzują swoją świętą gościnnością, gdzie Finki noszą fińskie noże, a Finowie kąpią się z dziećmi nago. Nie. To będzie opowieść o tym, jak z moją Mamą pojechaliśmy do Poznania. Tych podróży z Mamą było więcej, będzie więcej, są od początku, bo od kiedy byłam w niej, podróżowałam. Gen podróży Mama odziedziczyła po swoim Tacie, moim Dziadku – to i uśmiech Dalajlamy. Jednak w podróżach z Mamą nie zawsze – niekoniecznie – liczy się cel. Ostatnio popularna jest książka o mikrowyprawach, a ja myślę, jak zawsze w takich chwilach: a) to fajnie, że ktoś wpadł na pomysł, by to opisać, b) niedługo powstaną poradniki „jak oddychać”, „jak kochać”, c) czekaj... już są takie poradniki, d) moja Mama mogłaby napisać taki poradnik, ale, jak prawdziwa mistrzyni zen, woli wtedy uciąć sobie drzemkę. W podróżach z Mamą – niezależnie od tego, czy jedziemy do Paryża, na Białoruś czy do końca pętli tramwajowej, no bo w końcu nigdy tam nie byliśmy i trzeba zobaczyć, co tam jest, liczy się – wszystko. A najbardziej – ten, kto jest obok i komu można pokazać – wszystko. Świat niepokazywany drugiej parze oczu jakby trochę nie istnieje. W każdym razie pewności nie ma. W filmie *Into the Wild*, kiedy bohater wie, że umiera podczas swojej wielkiej wyprawy na Alaskę, wydrapuje na desce napis: „Happiness Is Real When Shared”.

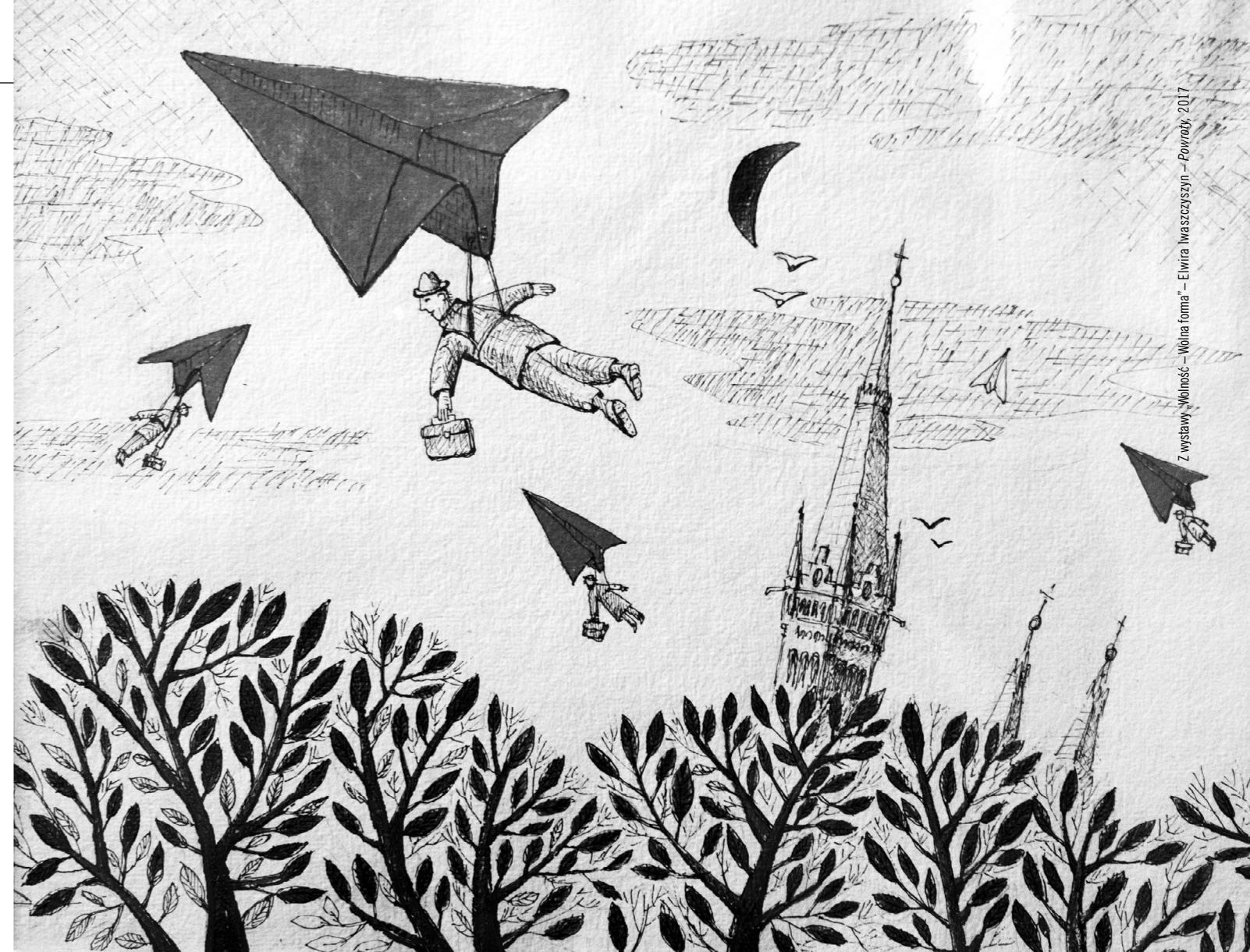
Ale wracamy do Poznania.

Jedziemy na festiwal Ethnoport w starym korycie Warty, na łące z krzakami dzikich róż w środku tego pięknego miasta, wyglądającego jak większy, bardziej zadbane i wypasiony Szczecin (jesteśmy z Mamą szczeciniankami i ja osobiście uważam, że każde miasto na świecie da się opisać porównując je do Szczecina. Nie wierzycie? Np. Paryż to „francuski Szczecin”, Wrocław – „duży, południowy Szczecin”, Warszawa – „miejscami jak Szczecin”, Kraków – „w ogóle nie jak Szczecin”, Gdańsk – „Szczecin, który naprawdę leży nad morzem” i tak dalej). Jedziemy oczywiście pociągiem, pociągi to taka forma pośrednia pomiędzy przyrodą ożywioną i nieożywioną, istnieją tak długo, że z pewnością mają duszę, skoro mają własny język, którym przesywając krzyczą w środku nocy, budząc marzenia o podróży, o pędzie, o przemieszczaniu się i byciu gdzie indziej, o byciu w ciele tego żelaznego zwierzęcia pędzącego przez ciemność.

Na naszej wyprawie do Poznania jest dużo światła, to koniec czerwca, prawie białe noce. W pociągu, w stukocie kół, czytamy książki, jemy jabłka, żelki i kamyczki, obowiązkowe pożywienie podróżnika. Nie bardzo możemy rozmawiać, moja Mama ma niedosłuch i często w miejscach publicznych, gdzie jest głośno, używamy, jak Beethoven, zeszytów konwersacyjnych, co przypomina trochę podawanie sobie liścików w podstawówce i chichotanie z nich, zwłaszcza, kiedy po takiej wymianie zdań Mama mówi: „Patrząc z zewnątrz można by pomyśleć nie, że ja nie słyszę, tylko że ty nie mówisz!”.

W Poznaniu śpimy pod namiotem na kempingu w pobliżu zoo. Wiecie, jaki piękny kemping jest w Poznaniu? W każdym razie był, siedem lat temu. Czysty, porządek (w końcu to mieszczański Poznań, zresztą, nie wiem, jakie jeszcze stereotypy są związane z tym miastem). Podobny do pewnego kempingu w Lizbonie, tylko że czystszy. Pożywienie zdobywamy w sklepie Krecik. Głównie są to serki topione, jakoś tak się od zawsze utarło – mam odruch, kiedy słyszę „namiot”, czuję w ustach smak serka topionego. A spotkania? Najwięcej ich na scenie, pod sceną, w kolorowym tłumie, w swobodnym tańcu. Na scenie – prawie wszystkie kontynenty, języki niestyszane nigdy dotąd. Muzyka też jest podróżą, może tą najważniejszą, jest niewidzialnym latającym dywanem przekraczającym granice przestrzeni, czasu. Jest też ogniem i siłą – występu zespołu Staff Benda Bilili (w języku lingala używanym w Kongo – „Patrz poza pozory”) nie zapomnę nigdy. Grupa muzyków ulicznych z Kinszaszy w Republice Demokratycznej Kongo, większość z nich sparaliżowana, w dzieciństwie przeszła polio. Chłopcy-sieroty przyciągnęli z ulicy przez starszych członków zespołu, grający na skonstruowanych przez siebie monochordach (instrumentach o jednej strunie). I dziki taniec. Muzycy tańczyli na swoich wózkach inwalidzkich, z kulami, z trójkołowymi rowerami, na których się poruszali. Święto życia. Mama Afryka – tak często zapominamy, że to ona jest kolebką ludzkości, że właściwie to biały człowiek jest wariacją na temat, a podstawową barwą człowieka jest czerni. Moja Mama zawsze kojarzyła mi się z Afryką – ma ciemne kręcone włosy, takie naturalne afro białej kobiety o uśmiechu dalajlamy i oczach syberyjskiej szamanki. Tego wieczoru byliśmy w Afryce, byliśmy przez dwie godziny Afryką.

Wiele małych podróży wewnątrz większej podróży, jak matrioszki ukryte jedna w drugiej. Podczas trzech dni festiwalu każdy koncert był podróżą – na mongolski step, na pachnące wanilią Komory, Wyspy Perfumy, na Bałkany. Być może muzyka jest niewidoczną duszą świata i duszą każdego ludu, którą muzycy rozwijali przed nami niczym wielobarwny dywan. Była jednak też słynna podróż-w-podróż, aby zobaczyć słynne



Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Ełwira Iwaszczyńska – Powrót, 2017

rogalińskie dęby. W tamtych czasach, to znaczy siedem lat temu, żadna z nas nie miała smartfona ani Internetu przy sobie, więc trochę spontanicznie postanowiliśmy pojechać pociągiem do Mosiny, bo to jakoś w tym kierunku co Rogalin, a tam jakoś to będzie. Jakoś to było – wypiliśmy kawę z papierowych kubków, obejrzałyśmy stację i sklep spożywczy w Mosinie oraz rozkład PKS-ów do Rogalina – było daleko i nie po drodze. I nie było tam absolutnie nic ciekawego, a jednak wspominamy obie z Mamą tę wycieczkę do Mosiny niczym espresso w jakimś tokańskim miasteczku. Pamiętam pochmurne, ciepłe popołudnie, poczucie przygody i oglądania czegoś nowego – takiego samego, jak wszędzie, a przecież jedyne na świecie. Mama tak patrzy na wszystko – może też dlatego tak lubię z nią podróżować, bo ona ma spojrzenie dziecka, spojrzenie człowieka uważnego, potrafiącego się cieszyć. („Mindfulness – poradnik”, punkt pierwszy: wsiądź do pociągu byle jakiego i wypij kawę w Mosinie), spojrzenie Andrzeja Kondratiuka z jego maksymą: „Nie tam są laguny, gdzie są laguny, ale tam, gdzie my jesteśmy”.

Matka to podróż, zawsze. Wychodzimy z niej, wyruszamy z niej jak ze stacji początkowej. Teraz każde moje spotkanie z Mamą jest poprzedzone podróżą przez całą Polskę. Oprócz instynktu bycia w ruchu przekazała mi, żeby patrzeć poza pozory. I tego, że zawsze jest jeszcze pociąg powrotny.

KATARZYNA MATWIEJCZUK, urodzona w 1984 roku w Szczecinie, wychowana na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, zamieszkała w Jedzbarcu na Warmii. Z wykształcenia filmoznawczyni po UJ, z zamiłowania pieśniarka ludowa. Publikowała (jako Katarzyna Gąsior) m.in. w „Kwartalniku Filmowym”, „Kulturze Współczesnej”, „Muzyce w Mieście”, „Opcjach”, „Studiach Filmoznawczych” oraz kilku tomach z serii wydawniczej „Literatura na Ekranie”. Laureatka konkursu Olsztyński Debiut SPP 2016 i 29. Konkursu na Sztukę Teatralną dla Dzieci i Młodzieży (organizowanego przez Centrum Sztuki Dziecka w Poznaniu w 2018 roku) za sztukę „Wnuczka Słońca” w 2018.

LIANBIN NI

Na wschód od Morza Martwego przełożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Mój kaszel

Przestałem jeden z moich cykli poetyckich *Martwych Natur* Mohamoudowi Darvishowi. Przeczytał i powiedział: „ładne”.
Spytałem, czy nie mógłby napisać, że wiersz, który czytał, został napisany przez chińskiego poetę. Odpowiedział NIE i dodał:
Zależy ci na tym? Wiesz, międzynarodowa poezja traci swoją tożsamość z dnia na dzień. Powiedziałem, że mi zależy.
A nie powinno?

Mój kaszel kopie w moim ciele co dnia
Sadzi drzewo? Mój zmarły ojciec zgina plecy
Pochyły budynek wznosząc się w niebo
Wybił kilka moich zębów poszarpanych jak obtoki

Flegma pokrywająca moją krtań
Sprawia, że wierzę w świat złożony z dwóch warstw, z tego co z wierzchu i z tego co pod spodem
Z wierzchu jest całkiem powietrzny, pod spodem zupełnie wodny
Niczym boja, flegma jest kondensacją pamięci

Moje dni. Moja flegma żółtawa, mętna
Dlaczego sądzę, że ta chwila cesarza starożytnej dynastii
Nie jest historią naszych pięciu tysięcy lat tylko na odwrot?
Najpierw widzimy flegmę, później skręcamy za róg i ukazuje się

Wiosna w Ammanie. A on nie zawrócił, nie odszedł
Zgodził się zachować dystans i żyć z nami jako sąsiad
Tylko jego kaszel jest głośniejszy
W przerwach mojego kaszlu

Zanim odłożę wiersze i zajdę do apteki
2000/02/24



Martwa natura 1: Jabłko

Jego nieruchomość unieruchamia wszystko poza nim samym.
Niebo rysuje skrzydła na białej kartce i trwa nieporuszone
Kiedy cisza rozptywa się po powierzchni stołu
Aby nagle zatrzymać się w moich oczach

Ale nie to jest najważniejsze.
Jego spokój nie jest też warstwą ochronną
Ani ocieplony bawełniany płaszcz twojej ukochanej,
którego dotknąć chciały twe dłonie
Wszystko odchodzi w przenikliwym chłódzie długiej zimy

Nawet nie btysszczy.
Trwa w tajemnicy
Albo w ciemności

Dla żywych jest czymś w rodzaju pożywienia
Dla martwych rodzajem pokusy
A dla Van Gogha, gwoździem na krzyżu
1999/11/17

Więzenie chińskich znaków

----- Na dni, kiedy opuściłem Chiny

Otwieram oczy słowami rozciągniętymi jak przędza krwi
Odkrywam, że całe ciało mam wytatuowane fragmentem chińskiego artykułu
O plaży nudystów nad Morzem Południowochińskim, tym, co stale mnie naciera
Jest płodna morską wodą ubrana w jedwab
Luźny horyzont jak pasek rozpina się prostym pociągnięciem
Moja brzydota, moja obrzydliwość, moje piękno
Nieustannie ocalane przez sieć chińskiego języka
I łowione. Jeżeli krew spływa nieoczekiwanie
Jest to rezultat tego, że niektóre chińskie znaki są zbyt ostre
Nagle pęka serce
Czy te rozdziały nie zostały nam z poezji starożytnej
Jak rozproszone ławice ryb pędzących ku samobójczej śmierci.

Zamykając oczy dotykam ust
Nocy. Czas, to długie jak pocałunek zawsze
Pod moją skórą, wrażliwą jak jakaś ulotna muzyka:
Księżyc jak wąż rosnący cal po calu
Tak wzniosły że prawie sięga mej duszy
Mojego pisania, mojego więzienia, mojej chwały
Wciąż mijany jak ulice
I opuszczony. Co za egzystencja! Dzień po dniu upływał na odejmowaniu
Dzień po dniu, chociaż nigdy tak naprawdę się nie zakończył
To oni skręcili na rogu na ulicy Ammanu
Jak ciężkie kroki na schodach wypełniające noc
Aż w końcu wykrzyczę uroczyste to oczekiwane i wciąż chińskie słowo.
1989/10/14

ARKADIUSZ ŁUBA

Zbigniew Herbert w Berlinie

W setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości przypada również 20. rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych polskich poetów, dramaturgów i eselistów. „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, głęboko przekonany o wyjątkowym znaczeniu Jego twórczości”, jak stwierdza ustawa, ogłosił 2018 Rokiem Zbigniewa Herberta. Po równo 50 latach, na zaproszenie Instytutu Polskiego, Herbert wrócił do Berlina we wspomnieniach przyjaciół, wdowy po nim, a także zainspirowanych jego twórczością artystów.

Z wykształcenia prawnik, ekonomista i filozof, ale nie literat. Nękany przez system PRLowski nie mógł publikować. Zadebiutował dopiero jako 32-latek w roku 1956 tomem poezji „Struna światła”. Przedtem trzymał się dorywczo różnych zajęć: „Nie należałem do Związku Literatów w tzw. okresie błędów i wypaczeń. Pracowałem np. w «Torf Projekcie», byłem projektantem urządzeń sanitarnych. Pracowałem w Spółdzielni „Wspólna sprawa” jako chronometrażysta i kalkulator”. Tak mówił o sobie Zbigniew Herbert w nagraniu archiwalnym Telewizji Polskiej.

Będąc w opozycji do ówczesnej władzy, nie mógł opuszczać kraju. Dopiero w 1958 roku, gdy z komunistycznej Polski dało się swobodniej wyjeżdzać, Herbert ruszył w swoją pierwszą podróż po Europie i odwiedzał wyjątkowo cenne miejsca, które znał do tej pory tylko z reprodukcji i książek. Wynikiem podróży po Francji, Anglii, Włoszech i Grecji były zbiory esejów „Barbarzyńca w ogrodzie” i „Martwa natura z wężdłem”.

Podróżowanie to nie tylko poznawanie miejsc, które się odwiedza, ale także odkrywanie siebie, a – w przypadku Herberta – także próba reintegracji rozproszonych elementów kultury i uporządkowanie chaosu. W wierszu „Modlitwa Pana Cogito – podróżnika” dziękował Bogu, że dzieła przez Niego stworzone „udzieliły mu części swojej tajemnicy”, a także prosił, „żeby zrozumiał innych ludzi inne języki inne cierpienia / a nade wszystko żeby był pokorny / to znaczy ten który pragnie źródła”. W eseju „Holy Iona, czyli kartka z podróży” przywołuje podpis autora posagu w Opactwie wyspy Iona w Hebrydach Wewnętrznych u południowych wybrzeży Szkocji: „Jacques Lipchitz – Żyd wierny wyznaniu swoich przodków – wyrzeźbił tę Madonnę, aby ludzie porozumieli się między sobą i aby duch zapanował na ziemi”. Wtedy to miał uświadomić sobie Herbert, że „podróżuje po Europie po to, aby z długich i dramatycznych dziejów ludzkich wydobyć ślady, znaki utraconej wspólnoty”. Dodajmy, że „יונה” (iona) oznacza po hebrajsku „gołębicę”, symbol pokoju. Poeta był „wdzięczny żydowskiemu artyście, że mając pod ręką tyle słów nienawiści, zdobył się na słowa pojednania”.

Na zaproszenie Niemieckiej Centrali Wymiany Akademickiej DAAD trafił w 1968 roku do Berlina Zachodniego. DAAD nie chodziło przy tym tylko o wielkie nazwiska, ale raczej, by

stypendyści zyskiwali na pobycie w Berlinie i na odwrót. Peter Nestler, ówczesny pierwszy dyrektor „Berlińskiego programu artystycznego”, przyznaje, że cenił Herberta nie tylko za wyjątkowość jego twórczości, ale był z nim po prostu zaprzyjaźniony: „Dużo rozmawialiśmy o Berlinie, zwiędaliśmy muzea, odwiedzaliśmy innych twórców. Zapraszałem go do siebie albo szliśmy razem na kolację do Krzysztofa Pendereckiego. Nawiązał w Berlinie kilka dobrych kontaktów. Berlin pomógł mu prywatnie, ale niekoniecznie w karierze. Herbert był spokojny i introwertyczny, jego pobyt w Berlinie okazał się wielkim sukcesem, zapewne z uwagi na jego emanację jako człowieka i jako artysty”.

W przeciwieństwie do innego berlińskiego stypendysty – swojego rodaka Witolda Gombrowicza – Herbert nie napisał o tym mieście nic, mimo że po mieszkaniu w Warszawie spędził tu najwięcej czasu. W ogóle ukrywał się podczas pisania, jak wspomina wdowa po nim – Katarzyna Herbert: „Nie siadał przy stole i nie pisał, bo to nie był w ogóle jego sposób bycia czy tworzenia. Ja nigdy nie wiedziałam, gdzie jest jego miejsce, gdzie siedzi przy biurku i pisze. Nie widziałam tego, absolutnie, to była jego słodka tajemnica. Był wolnym człowiekiem przede wszystkim. Wobec tego wyjeżdżał, był raz w Stanach Zjednoczonych, stąd wyjechał, był w Grecji. I miał jakąś swobodę poruszania się po tym świecie. W Niemczech czuł się zupełnie niezłe, ponieważ dobrze znał język. Też zwiędzał Niemcy. Tak, Niemcy były takim oknem na świat bardzo trwałym dla niego”.

Dlaczego wyjeżdżał na Zachód? – Uważał, że Polska należy do kultury śródziemnomorskiej. Herbert był do tej kultury przywiązany, jak przyznawał w „Węźle gordyjskim”. Chciał „ze swoich podróży przywieźć relacje nie tylko o obrazach, rzeźbach, katedrach, ale także zadokumentować swoją. Polaków, więc ze źródłami naszej cywilizacji”. W wierszu „Obłoki nad Ferrarą”, dedykowanym historyczce i krytyczce sztuki, Marii Rzepińskiej, zwierzał się: „(...) pojazdy / jak latające dywany / z baśni Wschodu / przenosiły mnie / z miejsca na miejsce / sennego / zachwyconego / udręczonego pięknem świata”. Jednak zawsze wracał „na kamienne tony / ojczyzny (...) / – do wody dzieciństwa / – do splecionej korzeni / – do uścisku pamięci / – do ręki twarzy”, jak pisał w wierszu „Pan Cogito – Powrót”. Co myślał o Polsce? Myślał podobnie jak Miłosz, do którego pisał z końcem września 1967 r.: „nie jestem z tym krajem (jeszcze mniej niż Ty) związany wspólnotą krwi”: „Ale ta Erde (ohne Blut) jest m o j a, jak zaraza albo choroba weneryczna i żeby nie wiem jak podskakiwał nie wyzwolę się od tego”.

Mimo że Katarzyna Herbert wierzyła w wielkość poezji Herberta, nie połączył jej z nim intelektualizm. Zwyczajne uczucie, jak mówi, i niezwykle wręcz etos, któremu chętnie towarzyszyła: „Ja się nigdy nie pchałam w jego życie osobiste czy twórcze, nigdy go w niczym nie kontrolowałam, ani nie dyscyplinowałam. Po prostu byłam mu potrzebna jako osoba, która musi mieć towarzystwo jakiegoś. Jak ja poznałam Herberta, to był człowiekiem, który swoją

osobowością na pewno bardzo przyciągał ludzi. Był przystojny, miał wspaniałe niebieskie oczy, uśmiech świetny – przede wszystkim – był bardzo wybitną osobowością, która dawała mu poczucie takiej wrażliwości na to, żeby nie skrzywdzić kogoś”.

Na takiej postawie Herberta jako poety, podróżnika i strażnika wartości moralnych wychowało się wiele pokoleń Polaków. Urodzony pod koniec lat 50. matematyk i malarz Wojciech Cieśniewski posiłkuje się w swoich dziełach tradycją sztuki oraz relacjami między kulturą a naturą. Jego dzieła, inspirowane twórczością Herberta, można do końca lutego 2019 r. zobaczyć obok rysunków samego Herberta w galerii Instytutu Polskiego w Berlinie. Cieśniewski uważa, że wielkość Herberta polega na zdolności jego dzieła do mówienia nam o znaczeniu kultury w kształtowaniu współczesności: „To nie my stawiamy wymagania dziełom sztuki, tylko sztuka, dzieła sztuki stawiają wymagania nam! I to właśnie ta rozmowa z tradycją tworzy naszą współczesność i rangę naszego życia”.

Naznaczony traumą drugiej wojny światowej, czuł się Herbert związany z tymi, którzy oddali życie za ojczyznę. Andrzej Franaszek, autor monumentalnej biografii poety wydanej przez wydawnictwo Znak, wyjaśnia: „Ci ludzie, którzy zostali zabici w czasie wojny, czy potem zamordowani po wojnie, stanowią dla Herberta więź, której on nigdy nie był w stanie odrzucić. Charakterystyczny jest jego stosunek do powstania warszawskiego. Herbert odczuwał to w ten sposób, że wydarzenie to zostało poświęcone krwią ofiar. Bohater jego twórczości, a może on sam, był w pewnym sensie zakładnikiem tych zmarłych”. Być może z tego właśnie powodu obecny rząd polski – który swoją patriotyczną narracją buduje m.in. na mitach bohaterskich – przywłaszczył sobie Herberta jako nowego poetę narodowego. Jednakże poeta nie czuł się w żaden sposób piewą wielkości narodu polskiego, jak podkreśla jego biograf.

Herbert zaprzeczał tezie Adomo głoszącej, że po Auschwitz poezja umarła; „poezja musi podjąć (...) trud odbudowy moralnej świata przez odbudowę wartości słowa”, pisał w eseju

„Od słowa ciemnego chroń nas...”. Poeta przejął wewnętrzny nakaz walki ze złem i bezsenssem, jak zauważyła Małgorzata Mikołajczak we wstępie do „Wyboru poezji” w opracowaniu Biblioteki Narodowej: „Odpowiedzią poety na katastrofę staną się aktywność postrzegana w kategoriach działania estetycznego oraz przekonanie, że sztuka ma być przekazicielem takich postaw, jak wierność, odpowiedzialność, dzielność i wytrwałość”.

Wyraz swojej niezachwianej postawy moralnej dał Herbert w wierszu „Przesłanie Pana Cogito”, w którym poeta mówi między innymi:

„(...) idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch (...)

Bądź wierny Idź”

Według Ryszarda Krynickiego, polskiego wydawcy Zbigniewa Herberta, wiersz ten jest kwintesencją Herbertowskiego przesłania zawartego w całej jego poezji: „Bądź wierny hierarchii wartości, dzięki której jesteśmy ludźmi. W poezji Zbigniewa Herberta chodzi o istotę rzeczywistości, chodzi o to, czym naprawdę jest rzeczywistość, a nie o plakatowe postrzeganie rzeczywistości nas otaczającej. Był wspaniałym człowiekiem, wspaniałym poetą”.

Zbigniew Herbert – naznaczony traumą drugiej wojny światowej człowiek i poeta, który przez liczne podróże starał się zrozumieć swoją europejską tożsamość. W wierszach pomieścił cierpienie XX wieku. Ich pozorną prostotę komplikuje ironia, będąca zarazem figurą artystyczną i postawą wobec bytu. Świat poety nie jest biało-czarny. Jest w nim miejsce na szarość będącą ulubionym kolorem twórcy, jak podkreśla wydawnictwo Ossolineum Biblioteki Narodowej. Berlin z pewnością umożliwił Herbertowi dostrzeżenie różnych odcieni tej szarości...



Były dyrektor „Berlińskiego programu artystycznego” DAAD Peter Nestler, wdowa po Zbigniewie Herbercie – Katarzyna Herbert, szefowa Fundacji Zbigniewa Herberta – Maria Dzeduszycka. Fot. © Arkadiusz Łuba

GRUPA LITERACKA BARCJA

Wiersze

JERZY SAŁATA
Jestem jaki jestem

Jestem jaki jestem
nikt nie zmieni
spojrzenia w Bramę Lidzbarską
na dziewczęce spódnice –
są za piękne

Jestem jaki jestem
najbardziej wolę
by zamknęły się gęby innych –
moja
jest niema

Jestem jaki jestem
– chcę być
nie inny –
bo cóż to kogo obchodzi

ARKADIUSZ MONKIEWICZ
Pycha

bezsilna wobec pokory
nieświadoma swej słabości
pełne próżności rozdęta policzki
nos zadarta
nonszalancko
od niechcenia zechciała
uczynić lekceważący
pogardliwie niedbały gest
zbyt późno zauważona
nie szukając straciła
zgnębiona
nie znalazła
patrząc z góry...
bokiem wylaża

TERESA BARSZCZ-WARD
Przemijanie

Śpiew lasu spokój jeziora
Serce rozpieęta euforia
Blask ogniska rozświetlał twarze
Czas cudów już nigdy nie wróci
Kolejny rok przymierza płaszcz starości
Dokłada siwe włosy
Milimetr głębszą zmarszczkę
Zaglądam w rozbite lustro czasu
Szukam tamtej dziewczyny
Wierzącej w latające dywany
I czarodziejski stoliczek
Ostatkiem chwil trzymam młodość
Za warkocz pokryty czarnym bzem
By pośpiesznie nie odeszła
Nie wiem co spotkam za zakrętem kolejnego roku

Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Elżbieta Boniecka-Milowicz – *Droga do niepodległości* (fragment), 2018W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIART:
Wolność – Wolna forma

MAŁGORZATA CHOMICZ

Naturą każdej autentycznej sztuki jest wolność. Miarą wolności jest to, w jakim stopniu artysta może swobodnie wyrażać siebie. Dlatego przy okazji wystawy w BWA wpisanej w obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości nie czuję przymusu kreowania na siłę fabuły opartej na symbolach czy alegoriach narodowych. Czuję się wolna. Jest to moja manifestacja swobody twórczej jako Polki i obywatelki świata.

By tworzyć, wystawiać i odnosić sukcesy, zarówno w Polsce, jak i na świecie, nie muszę uprawiać twórczości podporządkowanej doktrynom i ideologiom, jak to miało miejsce na przykład w okresie realizmu socjalistycznego. Biletem i paszportem jest rzetelna praca, jakość i poziom. Wstuchuję się w siebie i to, co na ten czas jest dla mnie istotne, bo to mój czas – jedyny i niepowtarzalny. Dlatego prezentuję na wystawie grafiki z najnowszego cyklu zatytułowanego *Silence. Wieczór z kulturą*, audycja Ewy Zdrojkowskiej, Radio Olsztyn, 14.11.2018 r.

DAVORIN KEREKOVIĆ

Fotografia pt. *Los*, którą prezentuję w BWA, przedstawia wychudzonego konia na gruzowisku. Zrobiłem ją w Afryce w ubiegłym roku, ale jest ona właściwie reminiscencją przeżycia, które miałem w 1991 roku w Chorwacji. Widziałem wówczas wymęczonego konia, który zjadał flagę. W obu przypadkach jest zwierzę, które walczy o życie, stoi na krawędzi życia. Moim zdaniem jest to taka paralela ludzkiego losu, tego, co sobie i innym potrafimy zgotować. Z lat 1991-95, z okresu wojny, nie mam zdjęć, chociaż mogłem je robić. Mieszkałem 200 metrów od pałacu rządu, który był bombardowany. Widziałem wszystko w gruzach. Jednak są chwile, kiedy człowiek nawet bardzo oddany pasji fotografowania, myśli o czymś innym, wtedy sztuka schodzi na drugi plan. Może w innych okolicznościach zrobiłbym coś z tego okresu, ale darowałem sobie.

Wieczór z kulturą, audycja Ewy Zdrojkowskiej, Radio Olsztyn, 14.11.2018 r.

ADAM KURŁOWICZ

Na wystawie *Wolna forma* pokazuję trzy grafiki. Jedna zatytułowana jest: *Czas chaosu* i dwie: *Requiem dla marzeń*. Dobór grafik na tę wystawę nie jest przypadkowy, ponieważ ich tytuły odnoszą się do wolności, do pewnego ryzyka, jakie jest w samym słowie i w procesie tworzenia wolności.

Czas chaosu jest bardzo często drugą stroną tego procesu. To coś, co bardzo często pojawia się jako skutek uboczny, kiedy wolność przekracza swoje granice. Gdy wolność jest nieokreślona i rozlewa się w sposób niekontrolowany, bardzo często zamienia się w chaos. Natomiast *Requiem dla marzeń* odnosi się do sytuacji na początku. Bardzo często dążymy do wolności, mając nadzieję na pewne sytuacje, które nie dochodzą do skutku, bo wolność czasami nie spełnia naszych oczekiwań. Wolność niestety jest bardzo kapryśna, bardzo nieprzewidywalna i nigdy nie można być pewnym, do czego doprowadzi.

Poruszyłem dwa aspekty wolności, myślę że ważne: w *Requiem dla marzeń* – kiedy wolność nie spełnia oczekiwań i drugi w *Czasie chaosu* – kiedy wolność przekracza nasze oczekiwania. *Wieczór z kulturą*, audycja Ewy Zdrojkowskiej, Radio Olsztyn, 21.11.2018 r.

MIROSŁAW „MICIA” BOJENKO

Ważna rocznica, ważne wydarzenie, więc stwierdziłem, że pokażę coś, co jest dla mnie ważne z tych rzeczy, które dotychczas fotografowałem. W pewnym momencie przyszła jednak refleksja, że już dawno nie fotografuję, zajmuję się czymś innym. Postanowiłem podzielić się tym, co robię w chwili obecnej i dlatego oprócz fotografii jest na wystawie moja rzeźba. Rzeźba zatytułowana *Ryba Styl DoWolny*. Fotografia analogowa zatytułowana *Tytuł DoWolny*. Każdy ma wolność w tłumaczeniu sobie tytułów. Dałem takie tytuły, aby dały ludziom do myślenia. Zapraszam do dyskusji.

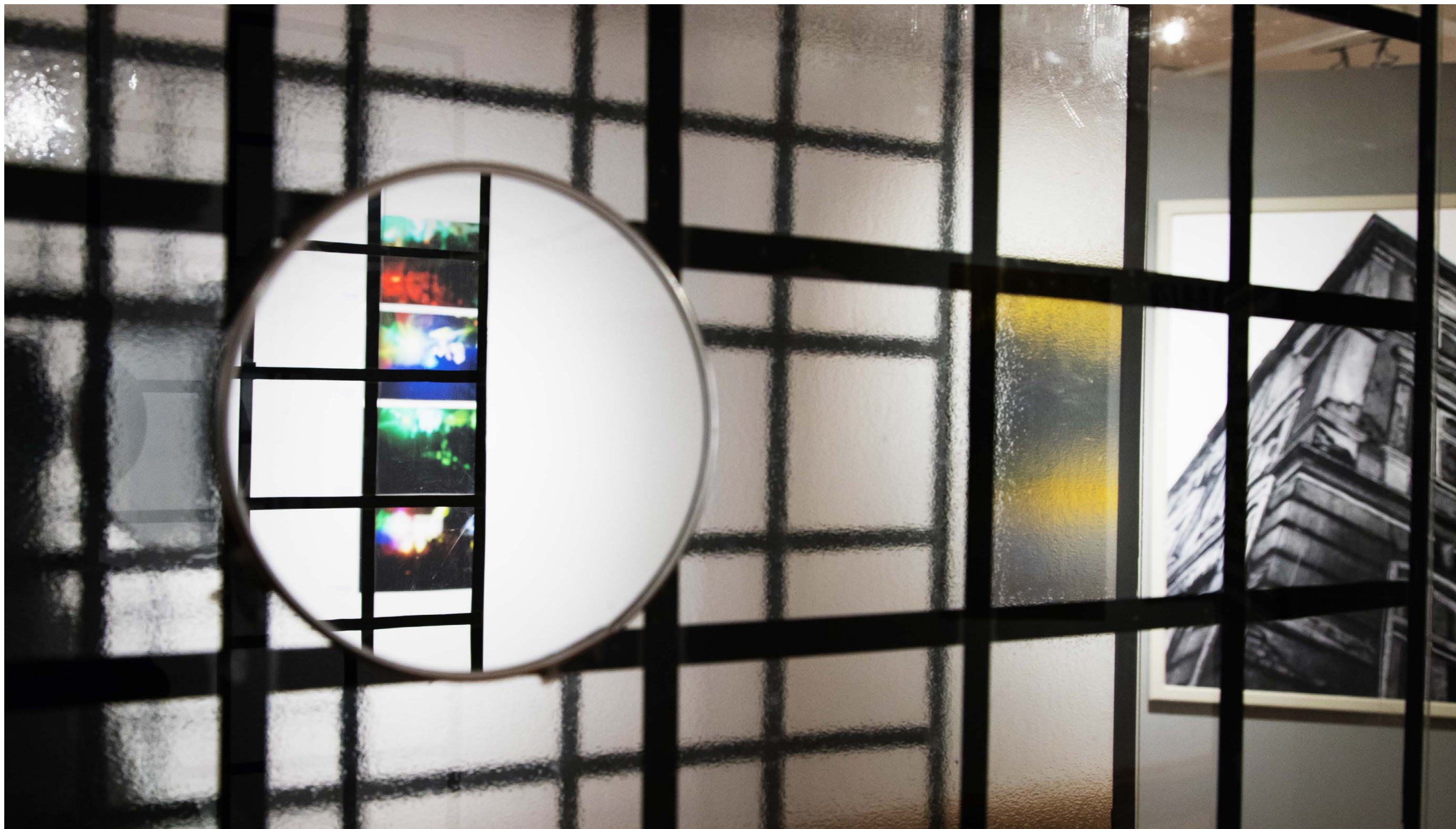
Wieczór z kulturą, audycja Ewy Zdrojkowskiej, Radio Olsztyn, 07.11.2018 r.



Fot. z archiwum BWA w Olsztynie – otwarcie wystawy „Wolność – Wolna forma”, 2018

WOLNOŚĆ – WOLNA FORMA

Artyści Warmińsko-Mazurskiego Stowarzyszenia Areszt Sztuki
w stulecie Niepodległości Polski – BWA Olsztyn 2018



Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Wiesław Wachowski – Instalacja *Areszt Sztuki*, 2018

ANNA KOWALSKA red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Dywanik

Ciepłe koce i dywaniki to moja propozycja relaksu i informacja, że dom jest przestrzenią, w której się regeneruję, moim własnym spa. Dom nie musi być tylko miejscem, gdzie wypełnia się obowiązki. Poranne robienie kawy i picie jej w łóżku, patrząc na świat przez okna, jest moją chwilą luksusu. Staram się tworzyć atmosferę, w której dom jest miejscem niemalże świętym, w sensie wypoczynku i dobrej energii. Teraz jest akurat czas w moim domowym życiu pozbywania się rzeczy. Oddaję książki, których nie czytam, sprzedaję instrumenty. Nie mam potrzeby tworzenia materialnego muzeum. Coraz głębiej wchodzę w redukcję. Jest to trudne, mam wrażenie, że przez wiele lat byłam przywiązana do przedmiotów i że moje bezpieczeństwo od nich zależało. Tak wyglądała moja przeprowadzka, wzięłam za dużo rzeczy. Obawiałam się, że czegoś mi zabraknie. Teraz lepiej się czuję, gdy tych sprzętów jest mniej. Lubię mieć z każdą rzeczą jakiś związek, kiedy jej używam czy na nią patrzę. Czuć, że jest ona na właściwym miejscu. Łatwiej mi ogarniać świat, jeśli tych rzeczy nie ma za dużo. Pojawiają się oczywiście w moim otoczeniu nowe przedmioty, tak jak wełniany dywanik, który leży w sypialni. Jest on miejscem, gdzie spotykam się z moim najstarszym synem Tolkiem, gdy przyjeżdża ze studiów. Siadamy sobie wtedy na nim i rozmawiamy. Pomysł na dywaniki i ciepłe koce, czyli to, co w naszej północnej krainie jest niezwykle pomocne w czasie chłodnych dni, to wpływ inspiracji wschodem, moich podróży z przyjaciółką do Suwałk i na Białostoczczyznę.

Mieszkanie znajduje się na parterze, co w ogóle mi nie przeszkadza. Nie zauważyłam, oprócz bliskich znajomych, żeby ktoś zaglądał w okno. Pamiętam, gdy wiele lat temu byłam po raz pierwszy dłuższy czas w Amsterdamie (tak się zdarzyło, że pracowałam w pubie, który był jednocześnie teatrem awangardowym – robiliśmy tam sztukę, ale też zarabialiśmy, pracując za barem), że chodząc po mieście, przeżyłam szok kulturowy – nie zastania się tam okien i wszystko widać, co się dzieje wewnątrz. Gdy zaczęłam tu mieszkać siedem lat temu, okazało się, że firanki też nie są mi potrzebne, nie przeszkadza mi to, że ulica wchodzi jakby do domu. Oczywiście, kiedy zbliża się wieczór, zastaniam okna i robię sobie ciepły domek. Myślę, żeby zainstalować tu kozę. Jest to trochę skomplikowane, w tym sensie, że wspólnota mieszkaniowa musi ustanowić uchwałę, która zezwoli na to, żebyśmy mogła się podłączyć do przewodów kominowych. Kozą byłaby wspiana jako ciepły dodatek. Co prawda mieszkanie nie jest moje, wynajmuję je, ale czuję, jakby było moje albo było dla mnie. Nie wiem oczywiście, jak długo będę tu mieszkać, ale ostatnie siedem lat jest po prostu pięknym czasem. Może to miejsce mnie wybrało, bo właściwie nie zdążyłam za bardzo obejrzeć żadnych innych, to było pierwsze. Poleciła mi je znajoma, była nauczycielką skrzypiec mojej córki Meli. Przez wiele lat mieszkaliśmy na wsi i wyprowadzając się stamtąd,

postanowiłam pytać się wszystkich znajomych o wolne mieszkania. Zapytałam na lekcji skrzypiec Meli i od razu znajoma powiedziała, że jej sąsiadka ma na Zatorzu mieszkanie i żebym koniecznie do niej zadzwoniła – do pani Marysi Zemsty. I pani Marysia wynajęła mi mieszkanie, nie wiem, czy to była zemsta. W każdym razie jak przyszedłam tu pierwszy raz to te wszystkie zabytkowe odrzwia, elementy zabudowy i układ mieszkania od razu mnie zaczarowały. Trzeba być z kamienia, żeby nie zakochać się w takiej architekturze. Pamiętam, jak szłam na rozmowę, znając reguły, wiedziałam, żeby nie pokazywać, że mi się coś podoba, żeby cena wynajmu nie była za wysoka. Powinnam była w sposób spokojny starać się negocjować warunki, ale jak stanęłam w miejscu, gdzie jest wykus, w którym jest tyle światła i teraz stoi moje łóżko, nie mogłam się oprzeć jękowi zachwytu. Poczułam się, jakby to była bajkowa sytuacja, że takie mieszkanie na mnie czekało. Pani Marysia była wspaniałą, kochaną osobą (niestety już świętej pamięci), bardzo szybko doszliśmy do porozumienia. Jest tu mnóstwo zakamarków, które się odkrywa – szpizarnia czy tajne drzwi, które prowadzą do małej pralni. W tym mieszkaniu są też nietypowe mechanizmy, które były instalowane przez brata pani Marysi, pana Wiktora. W piwnicy przez długi czas znajdował się zestaw do wytwarzania tych wszystkich przedmiotów, m.in. mebli w kuchni. Są one dość oryginalne, wykorzystana jest każda wolna powierzchnia, zawieszono je na dużej wysokości – dostosowane do potrzeb właściciela. Mam szczęście, bo jestem wysoka, ale gdyby tu zamieszkał ktoś o wzroście metr pięćdziesiąt trzy, to trudno byłoby się mu tu odnaleźć. W najmniejszym pokoju, zielonym – pokoju Kostka, średniego syna, jest łóżko umieszczone pod sufitem, mechanizm do opuszczania go zamontowany jest w piwnicy. Nigdy go nie uruchamialiśmy, ponieważ jesteśmy dość leniwą rodziną i nikomu nie chciało się schodzić do piwnicy. Mechanizm wygląda jak system zębatek rowerowych. W przedpokoju pod sufitem umieszczony jest olbrzymi pawłacz, gdy się go otworzy, wysuwa się drabinka. Można tam chować wiele sprzętów, przesuwać je na leżąco. W tej chwili jest tam część moich firmowych rzeczy, bo mieszkanie stało się siedzibą firmy Ania Broda Production, czyli mojego alter ego muzycznego. Pokój, który zajmuje mój najstarszy syn Tolek, ma wyjście na balkon. Wymaga małego remontu, ale oczekuję teraz osiemnastki mojego średniego syna i do tych urodzin nie ma sensu nic zmieniać. W tym pokoju mamy duży ekran, nie mamy telewizora, ale bardzo lubimy oglądać filmy. Szczególnie mój średni syn jest znawcą kina i często mi doradza, jeśli chcę sobie zaaranżować filmowy wieczór. Dzieli filmy według nastroju, bardzo mi się podoba taki system. W sezonie letnim pokój staje się przechodni, jest to nasze główne wejście do domu. Nie korzystamy wtedy prawie wcale z klatki schodowej. Lubię mieć takie swoje trochę tajemne, trochę jak przez ścianę, wejście.

Muszę przyznać, że to nasze spokojne mieszkanie stało się ostatnio miejscem spotkań nastolatków, rówieśników głównie mojego średniego syna. Ja też organizuję tu imprezy, dość nietypowe. Kocham Olsztyn, Kocham Zatorze, ale z drugiej strony muszę też powiedzieć, że są tutaj takie utarte zwyczaje czy sposoby zachowań, mało jest spontaniczności. Ja jestem osobą bardzo spontaniczną, wpadam na jakiś pomysł i od razu go realizuję. Tak wpadłam na pomysł grania przed domem. Wyobrażałam sobie, że w ten sposób poznam dużo ludzi i oczywiście tak się dzieje. Ale generalnie mam wrażenie, że tutaj wszyscy płyną swoim rytmem i nieszczególnie lubią, żeby to ich życie mocno się zmieniło. Jeżeli się chce spotkać z ludźmi, to łatwiej się z nimi zobaczyć, robiąc taką imprezę na zewnątrz niż spotkać się o tak w tygodniu. Trudno jest się spotkać bez zapowiedzi. Granie przed domem dało mi możliwość powiedzenia – halo, ja tu jestem, chcę się spotkać. Cieszę się, że te imprezy miały taką formę. To była nie tylko muzyka, ale tak samo ważna była herbata, którą robiłam i ten stoliczek, i ta chwila jakiejś rozmowy. Te spotkania to była również moja odpowiedź na inicjatywę święta Zatorza. Wydarzenie to odbywa się w okresie letnim. Imprezy koncentrują się wokół jednego dnia i mieszkańcy robią coś razem dla naszego osiedla. Chcę, żeby tu zagrać, miałam od początku, kiedy się tu wprowadziłam, bo dobrze mi się tu mieszka. Moja kamienica jest piękna, niedawno odrestaurowana, a ulica Żeromskiego ma trochę klimat jak w południowych krajach, gdzie ludzie zamiast chodzić do pubów, siedzą na ulicy, grają w gry na stołeczkach, piją herbatę. Oczywiście myślenie, że mogę taki styl tutaj zaszczyć, to utopia, ale mam instrument, do którego nie potrzeba prądu, czyli mogę zagrać na nim wszędzie i to już coś. Moje letnie granie przed domem stało się takim stałym elementem na kulturalnej mapie Zatorza. Ludzie czekają na nie. Pierwsze spotkanie jest zawsze najważniejsze, bo wszyscy cieszą się z tego, że chociaż raz w roku mogą uczestniczyć w takiej sytuacji. Organizuję te spotkania od strony ulicy, tak, żeby przypadkowy przechodzień czy osoba przejeżdżająca mogła się zatrzymać i przysiąść. W ten sposób sąsiedzi z ulicy może trochę się do siebie zbliżyli, zaczęli mówić sobie „dzień dobry”, uśmiechać się.

Na pewno takie inicjatywy zwiększają poczucie zaufania. Na co dzień łatwiej mi też teraz komunikować się z sąsiadami z ulicy i poprosić chociażby o pomoc przy samochodzie. Kojarzą mnie, że jestem tą Anią grającą na cymbałach. Wydaje mi się, że to są ważne rzeczy, żeby się nam lepiej żyło, takie budowanie zaufania w społeczności. Ta akcja też właśnie służy temu, żebyśmy się poznali, współpracowali i mieli poczucie, że jest to nasz kawałek miasta. Mam poczucie, że wniosłam pewien kolor w to miejsce, tak, jak dywanik do mojego mieszkania.



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

KRZYSZTOF KOSSAKOWSKI

Stowarzyszenie Wspólnota Mazurska

Stowarzyszenie Wspólnota Mazurska powstało w 1991 roku w Giżycku na fali zmian zachodzących wówczas w Polsce, w poszukiwaniu regionalnej odpowiedzi na wyzwania nadchodzącego czasu. Od samego początku kształtowały się trzy główne pola aktywności, określające tożsamość Wspólnoty: troska o wielokulturowe dziedzictwo regionu, wspieranie rozwoju regionu w wymiarze społeczno-kulturowym oraz inicjatywy o charakterze ekologicznym. Wszystkim tym działaniom towarzyszyło przekonanie o ciągłym szukaniu równowagi między otwarciem się Mazur na zewnętrzny świat a zachowaniem przez nie kulturowej spójności. Od samego początku ówczesna siedziba Stowarzyszenia przy ulicy Warszawskiej 17 w Giżycku (wcześniej mieściła się tu siedziba Towarzystwa Miłośników Ziemi Giżyckiej, a w czasach niemieckich szanowana piekarnia Regelskiego) tętniła wielobarwnym życiem kulturalnym. Znajdowały się tutaj *Jazz Klub Galeria* oraz *Mała Galeria* połączone w jedną całość. Panowała jazzowa atmosfera – mieszały się style, gatunki, ludzie. Spotykały się ze sobą różne pokolenia, giżycczanie i mieszkańcy Mazur z przybyszami z najdalszych zakątków świata, politycy z ludźmi apolitycznymi, maturzyści ze studentami, przedsiębiorcy z artystami... Wszystko to dokonywało się bez okazji, ale również bardzo często z okazji kolejnych wernisaży zarówno twórców związanych z Mazurami, jak i tych trafiających w orbitę stowarzyszenia z Niemiec, Szwajcarii, Francji czy Australii. Odbываły się, często w rytmie tygodniowym, a latem jeszcze częściej, koncerty jazzowe.

Pod auspicjami Wspólnoty zaczęło działać również Archiwum Mazurskie organizujące seminaria naukowe, wydające książki o tematyce regionalnej oraz czasopismo „Masovia” nawiązujące do tradycji wydawnictwa ukazującego się w Giżycku w czasach niemieckich. „Masovia” od formuły czysto historycznej zmierza w stronę regionalnego periodyku poświęconego nie tylko historii, lecz także współczesności i kładącego coraz większy nacisk na zagadnienia ekologiczne.

Działalność wystawienniczą przenieśliśmy z ówczesnej siedziby do obszernego pomieszczenia dawnej poczekalni dworca PKP oraz do nowo zbudowanego *Pasażu Portowego*. Zorganizowana w nim w 2016 roku wystawa dawnych fotografii Giżycka i jego mieszkańców przyciągnęła uwagę tysięcy giżycczian i turystów. Wcześniejsze wystawy organizowane w *Małej Galerii* oraz w poczekalni

dworcowej oprócz tematycznego nawiązywania do historii Mazur przed 1945 rokiem otwierały się również na tematy ekologiczne oraz historię już powojenną, w tym związki Mazur z Wileńszczyzną i Wilnem.

Wspólnota Mazurska propaguje i wzmacnia obecność książki nie tylko o tematyce regionalnej. Cykl nazwany początkowo *Literatura na wodzie* przekształcił się w *Cztery pory roku z literaturą*. W jego ramach, latem na statku w scenarii jeziora Kisajno, odbywają się spotkania z pisarzami – autorami zarówno znanych bestsellerów, jak i niszowych publikacji regionalnych.

Swego rodzaju flagowym przedsięwzięciem w ostatnich sześciu latach stał się cykl *Spotkań z Historią. Od niemieckiego Lötzen do polskiego Giżycka*. Odbyło się już trzydzieści sześć takich spotkań, a grafik na lata 2019–2020 jest już niemal całkowicie zapełniony. Spotkania wykorzystujące wiedzę m.in. lokalnych historyków przypominają dzieje miasta i krainy z bardzo różnych obszarów: od kształtu architektonicznego i urbanistycznego przez rolę ważnych postaci, życie codzienne po historię dróg wodnych.

W 2016 roku w nawiązaniu do siedemdziesiątej rocznicy nadania Giżycku obecnej nazwy Wspólnota w porozumieniu z Parafią Ewangelicko-Augsburską i inicjatorami, kilkoma obywatelami, doprowadziła do powstania obelisku z tablicą upamiętniającą wszystkie historyczne nazwy miasta. Ten symboliczny akt można śmiało uznać również za kamień milowy w historii Stowarzyszenia, wyraźny akcent w przestrzeni publicznej podkreślający jego dyskretną, ale też wyraźną obecność z przesłaniem integrowania przeszłości z teraźniejszością, dążeniem do równoprawnego traktowania i eksponowania tych, którzy obecnie, ale i w minionych wiekach, kształtują i kształtowali oblicze grodu nad Niegocinem promieniującego na całe Mazury, a czasami nawet znacznie dalej. Pojawiają się również nowe formy aktywności. W 2018 roku powołany został do życia Klub 6/8 nawiązujący do spotkań miejscowego establishmentu w czasach przedwojennych. Spotkania zaczynały się między godziną szóstą a ósmą wieczorem, stąd nazwa. Wówczas dostęp do uczestnictwa był ograniczony społecznym statusem i płcią. Brali w nich udział wyłącznie mężczyźni. Obecnie uczestnictwo w niej nie jest ograniczone żadnymi kryteriami. Ma dokonywać się swobodna wymiana myśli na wszelkie możliwe tematy. Rozmawiano już m.in. o ekologii jezior, a w najbliższym czasie planujemy spotkania poświęcone

sztuce, giżycczantom rozrzuconym po całym świecie, ochronie dzikiej przyrody, równouprawnieniu płci w odniesieniu do mazurskich realiów.

Od kilku lat działa też silnie wspierany przez Wspólnotę ruch Miłośników Małych Mazurskich Miasteczek. W jego ramach dochodzi do spotkań środowisk kulturalnych i intelektualnych miast we wschodniej części Mazur – Giżycka, Olecka, Gołdapi, Węgorzewa. Ostatnio przekroczona została dość umowna granica regionu i doszło do nawiązania współpracy z Towarzystwem Miłośników Reszla i Okolic, działającym w tym warmińskim miasteczku. Wśród Miłośników Małych Mazurskich Miasteczek są również aktywiści innych organizacji, jak na przykład Towarzystwo Współpracy Mazursko-Francuskiej oraz Rotary Klub.

W roku 2018 Stowarzyszenie Wspólnota Mazurska zamyka dwudziesty siódmy rok istnienia. Jest ono w swoim rdzeniu przede wszystkim głosem pokolenia, które przyszło na świat na przełomie lat 50. i 60. XX wieku na Mazurach. Pokolenia, która wzrastało w cieniu doświadczeń wojennych i powojennych swoich rodziców – utraty przez nich dotychczasowych ojczyzn. Pokolenia, które w wolnościowych warunkach wytworzonych po przełomie lat 80. i 90. XX wieku, mogło zacząć swobodnie artykułować swoją tożsamość, kreatywnie i empatycznie otwierać się na przeszłość, na minione cywilizacje Prusów, Krzyżaków, Niemców, Mazurów. Pokolenia, które mogło w pełni docenić mazurski Cud

Natury, ale przede wszystkim mazurski Cud Kultury.

Na początku lat 90. XX wieku mogło się założycielom Wspólnoty Mazurskiej wydawać, że już teraz Mazurcom nic i nikt nie zagraża, że dziedzictwo i współczesność będą się krok po kroku harmonizować, splecać i uzupełniać. A takie organizacje jak Wspólnota odegrają w tym podmiotową rolę.

Teraz na Mazurach puka do drzwi kolejne pokolenie. Być może jednak nie do końca prawdziwe okażą się słowa znanej piosenki, że „każde pokolenie ma swój czas”. Raczej, czego historia Mazur może uczyć, tworzą palimpsest. Kolejne pokolenia, kolejne warstwy czasu się przenikają, tworząc polifoniczne i wielokierunkowe promieniowanie.

Wiele wskazuje na to, że największym wyzwaniem, przed jakim stoją Mazury jako część globalnego świata, będzie wyzwanie ekologiczne. Przestaje już chodzić o ochronę planety z myślą o przyszłych pokoleniach. To wyzwanie dotyczy nas tu i teraz.

W bezpośrednim zasięgu Stowarzyszenia od początku istnienia znalazło się co najmniej kilkaset osób, w pośrednim – przez wystawy, publikacje, spotkania – wiele tysięcy. Nie ma sposobu, aby to dokładnie zmierzyć.

Obecnie (od roku 2013) prezesem Stowarzyszenia Wspólnota Mazurska jest Krzysztof Kossakowski – giżycki księgarz i historyk.



Fot. z archiwum Stowarzyszenia Wspólnota Mazurska

MAGDALENA SPICZAK-BRZEZIŃSKA

Co ma konik do Kościuszki

Nazywają go mazurskim, warmińskim, a czasem weselnym, bo wedle tradycji miał przynosić szczęście nowożeńcom. Teraz pojawiła się hipoteza, że jeździł na nim Tadeusz Kościuszko. Jaka jest więc prawdziwa historia konika z piecowego kafla?

Konik weselny to jeden z najbardziej rozpoznawalnych symboli regionu Warmii i Mazur. Rysunek pięknego rumaka z piecowego kafla inspirował artystów, jego wizerunek można znaleźć na sklepowych i restauracyjnych szyldach. Rafał Toś z Kafłarni Warmińskiej, manufaktury ceramicznej produkującej regionalne pamiątki, uważa, że może być on nie symbolem małżeńskiego szczęścia, a patriotycznego zrywu. Wskazuje na to m.in. data – 1794 rok umieszczony w rogach kafla ze słynnej serii z konikiem. Jest ona zbieżna z datą insurekcji kościuszkowskiej, chociaż dotąd była uważana za rok postawienia pieca.

Zaciekawiony ceramik wrzucił w wyszukiwarkę hasło „powstanie kościuszkowskie” i oprócz informacji pisemnych wyświetliły się także zdjęcia. Były wśród nich obrazy przedstawiające Tadeusza Kościuskę – przysięgającego na krakowskim rynku (namalowany przez Franciszka Smuglewicza w 1797) i na koniu (autorstwa Juliusza Kossaka z 1879). Rafał Toś nie mógł pozbyć się wrażenia, że podobne malunki widział na kaflach. – Charakterystyczny płaszcz, wysoka czapka, szabla w dłoni – te same atrybuty ma postać zwana wójtem z mazurskiego kafla – wylicza. – Jest podobieństwo i celebrowanie daty. Do tego kafla z konikami na tym samym piecu, a przecież z koniem Tadeusza Kościuszki związana jest bardzo ciekawa historia...

... Bo wierzchowiec naczelnika przed laty też był słynny. Kościuszko znany był z dobrego serca i szczodrości dla biedaków, gdy, jadąc gdzieś, zobaczył żebraka, zatrzymywał się i dawał jałmużnę. Po śmierci Tadeusza Kościuszki jego koń został sprzedany. Ten jednak tak przywykł do zwyczajów swojego pana, że i z nowym właścicielem zatrzymywał się przy każdym potrzebującym.

Czy to możliwe, że autor kafla z mazurskiego pieca zainspirował się nie słubnymi zwyczajami, a zrywem narodowym Polaków i postacią charyzmatycznego przywódcy? Jerzy Łapo, historyk i regionalista, wątpi, by dawni Mazurzy mieli ochotę honorować powstańca. – W folklorze mazurskim Kościuszko nie miał „dobrej prasy”. Bywało, że mordercy z jego rozbitych oddziałów przechodzili na pruską stronę i nie zawsze byli grzeczni. Jednego ze zbrojów spod Szczytna miejscowi zwali Kościuszko – mówi. – Co do cyfr na kaflu, to obstają przy dacie wykonania, choć ręki sobie uciąć nie dam.

Barbara Chłodzińska, twórczyni Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie, też ma sporo wątpliwości co do prawdopodobieństwa wersji kościuszkowskiej. – Utrwalano na kaflach daty założenia firmy, daty produkcji – mogła zdarzyć się i data pokrywająca się z okresem powstania – mówi. – Sporadycznie twórcy, ludowi i nieludowi, reagowali na wydarzenia

swojej epoki, ale trudno chyba na podstawie kilku kafla z datą 1794 doszukiwać się osoby Kościuszki w postaci wójta. Częste wojny i mnogość wszelakiego wojska były niemal codziennością i widać to w zdobnictwie kaflarskim.

Być może jednak zleceniodawca, dla którego wykonano przed 200 laty kafele piecowe, był świadkiem niepodległościowego zrywu i zażyczył sobie nawiązującą do niego dekorację? A może Tadeusza Kościuskę lub obrazy z nim związane widział rzemieślnik, który zdobił kafele. – Są w ludowym stylu, ale pomalowane z dużym talentem i znowostwem, jakby robił to ktoś wykształcony. Być może sam brał udział w powstaniu, a potem zbiegł za granicę i znalazł pracę w kaflarni – zauważa Rafał Toś z Kafłarni Warmińskiej.

Zdaniem Barbary Chłodzińskiej i taka opcja zdarzeń jest dopuszczalna. – Oczywiście, wykluczyć nie można. W tutejszych opowieściach ludu mazurskiego często pobrzmiwają dalekie echa różnych wydarzeń historycznych związanych z Polską. Kto wie, może badacze natrafiają na jakiś dokument odnośnie do kaflarstwa i rzeczonyj daty... – tłumaczy.

Więcej ciekawostek regionalnych przeczytacie na stronie wszuwarach.pl (sklep internetowy ze sztuką i rękodziełem z Warmii i Mazur).



Fot. postać na zabytkowym kaflu, źródło: <https://wszuwarach.pl>

ANDRZEJ MARCINKIEWICZ

Dekada w budowie

W pierwszym numerze „VariArta”, dziesięć lat temu, obwieszczaliśmy z dumą i radością, że oto szansa na modernizację i rozbudowę siedziby Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej może się ziścić. Prezentowaliśmy też wizualizację przyszłego obiektu. Dziś, po dekadzie, z nie mniejszą dumą zapraszamy do oddanego w październiku nowego budynku.

Trwało to, oj trwało i działo się przy tym dużo. Najpierw konkurs na koncepcję, nieustanne rozmowy i konsultacje w sprawie programu funkcjonalno-użytkowego. Później prace projektowe i pozwolenia na budowę. Potem okazuje się, że z planowanego źródła finansowania nie możemy zbudować wszystkiego, dzielimy więc całość na kolejne etapy i zadania. Szukamy źródeł finansowania, startujemy w konkursach. Na początek modernizujemy zabytkową willę, przenosząc się na ten czas na Żołnierską, Gałczyńskiego i do Starego Ratusza. W 2012 r. wracamy, szukamy nowych pieniędzy, wylaniamy w przetargach kolejnych wykonawców. Wreszcie w 2013 r. wykonawca kopie wielką dziurę w ziemi i wtedy już widać, jakie będzie to nowe skrzydło biblioteki. Potem fundamenty, mury, dach, stolarka

okienna i drzwiowa, instalacje, elewacje i znów koniec kasy. Tak zastał nas rok 2017. Kolejne podchody do ministerstwa i programów unijnych, i nic. Zlitował się nad nami zarząd województwa, przyznając z własnych środków 2,5 miliona na dokończenie i wyposażenie inwestycji. Potem sama przyjemność: wybór wyposażenia, kolorystyki, niekończące się dyskusje, jakie krzesła, które regały, jakie oprawy oświetleniowe. I oto jest październik 2018 r. Mamy nowoczesny obiekt na miarę XXI wieku, godziwie wyposażony i służący mieszkańcom i bibliotekarzom naszego województwa. Sala konferencyjna, sala szkoleniowa, biblioteka dziecięca oraz pracownia regionalna. Zapraszamy – przyjdźcie, oceńcie. W procesie inwestycyjnym naliczyliśmy ponad 150 małych „etapów” zakończonych umową, przetargiem, protokołem, aneksem czy innymi uzgodnieniami zostawionymi w formie pisemnej. Każdy z nich wymagał przygotowania, konsultacji, namysłu i podjęcia wielu decyzji. Na każdym etapie można było popełnić błędy. Dziękuję projektantom, wykonawcom, inżynierom nadzoru i moim pracownikom za dziesięć lat wyłożonej pracy. Gdy patrzę na efekt, cieszę się i myślę, że było warto mimo niejednej nieprzespanej nocy.

Fot. Jarosław Poliwko



MONIKA STĘPIEŃ

Komu ja *Piszę Olsztyn*?

Tysiące liter, setki słów, kilkudziesięciu twórców, kilkanaście wydarzeń, jedno miejsce – Olsztyn. Trzydniowe spotkania literackie, które odbyły się w dniach 16-18 listopada 2018 roku, to wyjście naprzeciw oczekiwaniom i potrzebom literackim naszego miasta.

Literatura dziś to nie tylko kominkowe lektury poetyckie w zaciszu domu, spotkania w gładkich koszulach z nienagannie budowaną prozą, a poezja to nie samotnia, wokół której snują się twórcy, szukający akceptacji i zrozumienia. Przyczyna tej potrzeby humanizacji literatury była dla nas jasna:

Stłowo JEST NASZE. Twoje, moje, wspólne. Bo przecież to ono jest trzonem i przyczynkiem każdego zapisanego fragmentu rzeczywistości. W tym gęstym i nasyconym procesie tworzenia literatury udział biorą przede wszystkim ci, którzy poetami, pisarzami, reportażystami, felietonistami itp. się nie nazwą. Ci, którzy dają nie formę, a treść – którzy rozmawiają głośno w autobusie, dzielą się przy kawie swoimi sprawami, wspominają na ławce przed domem, narzekają na wszystko dookoła, zachwycają się wiosną, drzewem, śniegiem, światłem. To wszystko jest początkiem literatury, bo ona sama to nic innego, jak sprytne, zgrabne i hotujące piękno swoiste studium socjologiczne otoczenia.

I na tym najbardziej nam zależało – na rozmowie, obcowaniu i dyskusji nie tylko z czynnymi twórcami szeroko rozumianej literatury, lecz przede wszystkim na Odbiorcy – na wysłuchaniu go, stworzeniu przestrzeni do kreowania, dociekania, oceniania, dyskusowania. Kiedy pierwszego dnia poezja z intensywną mocą wyszła na ulice i do kawiarni olsztyńskich podczas happeningu *Wolność słowa*, ktoś z obserwujących powiedział „Patrz! Poeci też w końcu mają głos! Może to tak przed świętami?”. I pomimo stódkogorzkości tego komentarza jest w nim sporo prawdy – skoro sami często zamykamy się ze swoimi wierszami już nawet nie w szufladach, a w ciasnych grupach twórczych, spotkaniach czy instytucjach – to czy tylko zaproszeniem do wzięcia udziału w wydarzeniu tak naprawdę dotrzemy do *niepotencjalnego* odbiorcy? Bo ten potencjalny zawsze się pojawi, w końcu interesuje się ofertą instytucji. I można oczywiście się zastanawiać, czy wypada tak pchać się z twórczością w czyjeś progi, może on wcale tej twórczości nie chce i takiej potrzeby nie ma – ale pozwólmy mu odkryć literaturę, twórców, świat słowa; niech sam oceni, niech chociaż wie,

że taki świat też istnieje. Kto wie – może odkryjemy cynicznego i złośliwego sekundanta społeczeństwa wobec literatów, może okaże się, że w naszym mieście pisze znacznie więcej osób? Z taką myślą odbywały się pozostałe wydarzenia.

Z literaturą obcowaliśmy nie tylko w grzecznych rzędach, słuchając tekstów twórców, cięliśmy ją na kawałki, oddaliśmy w ręce dzieci, łączyliśmy z fotografią, sztukami plastycznymi, videowizualizacjami. Poznaliśmy kolorowe historie i mniej kolorowe życie reportażystów i dziennikarzy offowych (Anny Maziuk, Hanny Łozowskiej i Karola Fryty), którzy odczarowali i oswoili nam codzienny warsztat, odkrywając nieznanymi miejscami daleko za granicą tego, co znane, udzielili kilku rad tym, którzy także chcą zacząć. Gościli u nas także Półkowniczki, które wyjątkowo w towarzystwie mężczyzn rozmawiały o *wspólnocie*, dochodząc zarówno do wniosków zbiorowych, jak i indywidualnych. Pozwiliśmy też poezji krzyknąć, tarzać się po ziemi, spletać z muzyką, śpiewać, poruszać tematy niewygodne i zupełnie przyziemne. Tak było podczas premiery słuchowiska *Nieobecność* (autorstwa Dagmary Świerkowskiej i Wojtki Kobusa) i przede wszystkim slamu poetyckiego *Słowo w słowo* w Starym Zaułku. To trochę zapomniana w Olsztynie forma bitwy literackiej, gdzie werdykt oddany zostaje w ręce publiczności, a ta potrafi wychwalać i wiwatować, ale też jednym kąśliwym komentarzem odebrać wolę walki twórcy. Dynamicznie, zaskakująco i odważnie – tak było i do takich słamów nam tęskno – podpowiem czytelnikom, że takowe szykują się w 2019 roku, zachęcam więc do śledzenia informacji kulturalnych w naszym mieście.

Pisze Olsztyn to przede wszystkim wyjście *do* i z literaturą w przestrzenie zasygnalizowane nam podczas działalności kulturalnej. Apetyt oczywiście rośnie w miarę tworzenia i wydarzenie mogłoby być jeszcze większe i jeszcze bardziej wypełnione – dlatego zostawiamy furtkę uchyloną i dalej nasłuchujemy, co w mieście piszczy.

Niech Stłowo nie będzie nabzdyczone, wyalienowane, cięte i wredne, obce i niezrozumiałe – niech da się oswoić, poznać, usłyszeć, niech podejmuje dialog, da ustawić się w szeregu innych, tworząc wiersz, powieść, reportaż, komentarz.

Niech słowo stanie się całe – twoje, moje, nasze!

RADOSŁAW GROSFELD

Sto lat, sto twarzy

Jak Polska długa i szeroka, setną rocznicę odzyskania niepodległości świętowano z przewidywalnym rozmachem, organizując niezliczone przemówienia, marsze czy odsłonięcia pomników. Wokół flagi i wstęgi, orderu i uściski dłoni. Zewsząd echa oklasków, blask rac, gdzie okiem sięgnąć. Zamiast przyłączyć się do narodowej megalomanii, Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie podszedł do jubileuszu od strony bardziej przyziemnej, normalnej i codziennej, przybliżając zwykłych ludzi, którzy tworzą nasz kraj. Trudno przecież o lepszą sposobność.

Wystawa „100 olsztynian na stulecie” to zbiorowy portret mieszkańców z lat 1918-2018, od roczniaka po stulatka. Na próżno szukać w nim polityków czy celebrytów, których znamy nazbyt dobrze. Album wypełniły twarze, życiorysy i fascynacje nas wszystkich, ludzi z krwi i kości, różnorodnych na dowód różnorodnej Ojczyzny. Ta zbudowana jest przecież z żywych i niezwykle barwnych historii pojedynczych ludzi, które tworzą naturalną wspólnotę miejsca i czasu. Złożoną z różnych wieków twarzy, fotograficzną opowieść autorstwa Grzegorza Czykwińskiego przedstawiono 10 listopada ub.r., zapraszając przy tym na popołudniowe, „stuletnie” pogaduchy w staromiejskim Spichlerzu. Do końca miesiąca z wystawą przy Wysokiej Bramie zapoznały się tysiące osób, z ogromnym banerem na elewacji biurowca Społem przy al. Piłsudskiego – nie sposób zliczyć. Prze-chodnie w ciągłym biegu i zniecierpliwieni oczekiwaniem

na zielone światło kierowcy nieustannie zadzierali głowy, spoglądając w stronę tej niecodziennej galerii. Owoce projektu zaprezentowano nie tylko w przestrzeni miejskiej, ale i wirtualnej – wciąż do obejrzenia pod adresem: mok.olsztyn.pl/100-olsztynian.

Do udziału w projekcie zaproszono mieszkańców miasta – małych i dużych, młodych i starszych, po prostu wszystkich. Wśród dzieci znaleźli się zapaleni miłośnicy bajek, psów i chomików, wśród dorosłych zaś m.in.: kominiarz, tapicer, pielęgniarz, pszczelarz czy hodowca gołębi. Grono „100 olsztynian” to ludzie wieloracy, jak ich marzenia, troski i codzienność. Jakie myśli i uczucia przywołuje Polska? Dla jednych to oczywiście dom i ojczyzna, kraj piękny, oryginalny i wspaniały, określony „stanem umysłu” bądź zamknięty w wymownym słowie „wszystko”. Dla drugich to cyrk i zagadka, kraj pełen podziałów. Nawet Helenka, odkrywczyni, która niedawno zdmuchnęła świeczkę na pierwszym urodzinowym torcie, wyraziła swoje „yyykhahbaa!” na dowód fascynacji życiem. Efekt to nadzwyczajna mozaika, także wizualna. Nic nie stało bowiem na przeszkodzie, by na okolicznościową układankę złożyły się także zdjęcia w nieco szalonej, osobliwej odsłonie. W ten sposób przyjrzelśmy się sobie, przekonując się o własnym pluralizmie, wielowymiarowości państwa, w którym żyjemy. To przecież my tworzymy Polskę, a nie na odwrót. Warto o tym pamiętać.



Studenci dziennikarstwa i komunikacji społecznej UWM w Olsztynie definiują hasło

Wolność

WOLNOŚĆ MA WIELE BARW

Wolność ma wiele barw. Dla jednych jest to możliwość obchodzenia świąt państwowych oraz nauka historii swojej ojczyzny, dla kolejnych możliwość głoszenia przekonań i poglądów, a dla jeszcze innych to prawo wyboru wiary bądź niewiary. Czym wolność jest dla mnie?

Wolność dla mnie to przede wszystkim prawo decydowania o sobie. Będąc białą kobietą, urodzoną w Polsce, nie czuję się wolna. Można by zapytać dlaczego, przecież nikt mnie nie zmusił do małżeństwa w wieku 15 lat, mogę studiować i wychodzić bez nadzoru mężczyzny. Ale czy to, że kobiety na Wschodzie tak mają, sprawia, że w naszym kraju wszystko działa bez zarzutu? Odpowiedź brzmi – nie. Co z tego, że żyjemy w niepodległym państwie, skoro od początku tejże niepodległości kobiety muszą walczyć z mężczyznami o każde prawo. Jak mam czuć wolność, kiedy ówczesna władza próbuje mnie wepchnąć w rolę inkubatora i posłusznej małżonki? Nie mam nic przeciwko kobietom, które same decydują się na porzucenie kariery na rzecz domu i dzieci. Najważniejsze, żeby był to ich wybór, a nie męża. Ja, w pełni świadoma, wiem, że dzieci mieć nie chcę. Wiem też, że niewiele mogę z tym zrobić, ponieważ zabieg sterylizacji u kobiet, w przeciwieństwie do tej u mężczyzn, jest w Polsce nielegalny. Nielegalna jest też aborcja, niedługo może uda im się jej zakazać nawet w trzech wyjątkowych przypadkach, bo przecież wolność zlepką komórek jest ważniejsza niż ta kobiety zgwałconej. Nawet z dostępem do antykoncepcji, szczególnie tej awaryjnej, są już problemy.

Wolność to także prawo do wyrażenia samej siebie bez agresji czy oceniania ze strony społeczeństwa. Smutne jest to, że np. dwaj kochający się mężczyźni nie mogą pocałować się na powitanie bez potępiającego spojrzenia otaczających ich ludzi. Bo przecież „chtopak, dziewczyna – normalna rodzina”. To samo tyczy się kobiet żyjących w otwartych związkach czy tych, które spotykają się z wieloma mężczyznami. One również narażone są na krytykę i słuchanie niewybrednych określeń skierowanych pod ich adresem, bo przecież „takie zachowanie nie przystoi kobiecie”. Chlebem powszednim stały się pobicia osób innego wyznania czy koloru skóry. Chłopcy w bluzach z wizerunkiem rotmistrza Pileckiego walczą z „najeżdźcą” i bronią wolności Polski. Nie ma znaczenia, że rzekomy najeżdźca to student piątego roku medycyny czy ucziwiec pracujący fachowiec z innego kraju. Dla nich liczy się to, że ma pejsy albo ciemniejsza karnacja. Czy to źle, że chciałabym żyć w miejscu, gdzie ludzie szanują innych za to, jacy są, a nie przez pryzmat orientacji, koloru włosów czy skóry?

Podsumowując, wolność to dla mnie możliwość wyboru tego, jaka chcę być i jak chcę przeżyć życie w zgodzie ze sobą. Niestety, pomimo XXI wieku największą wolność mają ciągle biali, heteroseksualni mężczyźni, którzy swoją wizję państwa i przekonania narzucają innym.

Michalina Chraplewska

JAK WAŻNA JEST WOLNOŚĆ

Jak ważna jest wolność w życiu człowieka, wie chyba każdy z własnego doświadczenia. Nawet teraz, gdy po raz kolejny podchodzę do pisania tego eseju, wściekam się, bo temat nie jest łatwy, a został odgórnie narzucony. Mogę wybrać... pisać czy nie pisać? Każda z tych opcji ma swoje konsekwencje. I to jest ta wolność. Znając skutki każdej decyzji, świadomie podejmuję wybór. Pisać czy nie pisać?

Wszyscy znają złotą myśl Alexis de Tocqueville: „Wolność człowieka kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka”. Rozumiem przez to, że nawet wolność ma swoje ograniczenia, tak jak tu, w tym zadaniu domowym. Nie mogę przekraczać granic wolności kogoś innego, nie mogę przekraczać granic, które postawiłam sobie sama dzięki wolności, która mi na to pozwala. Każdy zna konsekwencję podjętych działań, bo przecież uczą nas tego rodzice od najmłodszych lat. Wpływając na wolność drugiego człowieka, ograniczamy ją. Odbieramy jakąś możliwość komuś innemu, a przecież nie chcemy, aby ktoś inny ograniczał nas. W tym momencie mam w głowie elementy domina, którymi bawiłam się w dzieciństwie. Ustawiałam je w jeden rządek, zostawiając pomiędzy każdym wolną przestrzeń. Popychając pierwszy z nich, miałam pokaz przewracających się klocków. Jeden wchodził w przestrzeń drugiego, drugi w trzeciego, trzeci w czwartego i tak dalej. To daje do myślenia.

Żyjemy według zasad, które ustalamy na każdym etapie „bycia”, a które wbrew pozorom ograniczają nam pole manewru. Niektórych ogranicza natłok obowiązków, innych czas, relacje międzyludzkie, a nawet dobra materialne. Stawiając przed sobą nieosiągalne cele (bo możemy) i zatracając się w naszej wolności nieświadomie ją sobie ograniczamy. Znam to z autopsji. Znam konsekwencje moich wyborów i pomimo tego, że wybieram, co chcę robić, z kim się przyjaźnić, jak długo chcę pracować, nie czuję się wolna. Ciężko jest zdefiniować wolność, bo mam wrażenie, że niby jest, a tak naprawdę jej nie ma. I jak tu opisać coś takiego?

Myszę, że wolność, świadoma wolność, to właśnie podejmowanie świadomych decyzji. Znając konsekwencje i te dobre, i te złe mam prawo wyboru, którą drogą

chcę podążać. Każdy ma. I pomimo zasad, które sobie narzucamy, czujemy, że narzuciliśmy je sami, że nie istnieją one odgórnie.

No przecież mogłam wybrać... pisać czy nie pisać?

Gabriela Bury

WOLNOŚĆ JEST NATURALNYM PRAWEM KAŻDEGO

Wolność jest naturalnym prawem każdego, jest najważniejszą wartością. Człowiek powinien być nieskrępowany w swoim myśleniu i działaniu, o ile nie szkodzi tym samym innym.

„Gdybym ze wszystkich wartości, jakie są w Polsce, miał dać którąś na pierwsze miejsce, dałbym wolność” – tak w połowie lat 90. ubiegłego wieku mówił ks. Józef Tischner. Jednocześnie zaznaczał, że wolność nie polega na robieniu jednej albo drugiej rzeczy. Polega na zmienianiu świata, czuciu się w nim jak u siebie, bo to sposób bycia, dowolność wyboru naszych postaw sprawia, że jesteśmy prawdziwie niezależni. A wolność przejawia się w wielu aspektach oraz ma różne formy.

Zwykło się rozróżniać wolność negatywną (od czegoś) i pozytywną (do czegoś). Pierwsza jest rozumiana jako brak przymusu, wolność od rzeczy negatywnych – głodu, strachu, prześladowań. Z kolei druga forma skupia się na wyborze. To brak ograniczeń zarówno w życiu społecznym, jak i tym politycznym. Kwalifikuje się tu wolność sumienia, wyznania czy wyboru. Jednostka ma prawo do niezależności niekontrolowanej przez nikogo.

Thomas Hobbes uważał, że dla zachowania porządku konieczna jest rezygnacja z wolności jednostkowej i zawarcie umowy społecznej, która przekazuje całą władzę suwerenowi – nieważne czy jednostce, czy organom. Wynikiem lęku przed skutkami negatywnymi jest powstawanie państw. Z poglądami Hobbesa nie zgadzali się Mill i Locke. Ich zdaniem ludzie w swojej wolności są zdolni do działań altruistycznych i niejako zrzeczenie się swojego prawa do wolności i braku kontroli wcale nie jest konieczne.

Termin wolności prowadzi do licznych rozważań i dyskusji. Każdy postrzega ją inaczej, jednocześnie często ją marginalizując. Jednak jest ona punktem wyjścia do wielu działań i bezsprzecznie jest najwyższą wartością, do której ciągle powinno się dążyć.

Agata Żemier

Opieka merytoryczna: dr Magdalena Szydłowska (UWM w Olsztynie)



Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Miroslaw Bojlenko – Ryba Styl: DoWolny, 2018 (dół); Tyrut DoWolny, 2000 (górze)

KATARZYNA GUZEWICZ

Do Matki Niepodległości podchodź bez bicza

Jedna z kandydatek do prezydentury naszego miasta wrzuciła na Facebooka zdjęcie znaczków, które ukazały się na 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę. Na znaczkach znaleźli się: Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Wojciech Korfanty. Jediną kobiecą postacią, którą można tam ujrzeć, jest Matka Boża Hetmanka Żołnierza Polskiego, co kandydatka ironicznie skomentowała jako próbę oddalenia zarzutów o brak pierwiastka kobiecego. Widocznie taka była konwencja, wiara w to, że nad polskimi żołnierzami ktoś w niebiosach czuwa – nie chcę tego analizować, niech każdy wierzy w co chce. Ale dlaczego są tam (oczywiście pomijając Matkę Boską) sami mężczyźni? Pod postem odezwał się oponent, który stwierdził, że dla naszej (czyli kobiet) radości historia nie będzie fałszowana. I basta. Wszystko się zgadza, kobiety w tworzeniu Polski w 1918 nie odgrywały znaczącej roli. Przynajmniej nie o kobietach się uczymy. Ale nie dlatego, że były głupsze niż mężczyźni. Po prostu komuś bardzo zależało, żeby ktoś inny sprzątał, opierał, gotował, rodził kolejne dzieci i za bardzo się nie zastanawiał. Ktoś bardzo chciał utrzymać status quo. Mężczyźni brylowali w wielkim świecie i zajmowali się polityką. Jakoś też się przyzwyczailiśmy i przyzwyczailiśmy, że nawet w podręcznikach do historii podkreśla się męskie zasługi, a zbyt często analizuje się kobiecą urodę i ich partnerów. Jeśli nawet jakaś polityczka jest rzetelna i profesjonalna, portale plotkarskie i tak biorą pod lupę jej tuszę, kochanków, dzieci, zmarszczki. Głośno się zastanawiają, czy delikwentka korzysta ze skalpela, poprawiając urodę? A może ma stylistę i fryzjera? A może nie ma? Ktoś może się śmiać, bo przecież tego typu prasa i strony to zwykłe śmietniki. A ja wierzę w to, że tego typu doniesienia są smutnym odbiciem naszych poglądów. Albo że je nakręcają, używając sensacyjnej retoryki i specyficznego języka, na który się stopniowo znieczulamy. Swojego czasu trafiłam na ranking „najseksowniejszych polskich pisarek” na w miarę ambitnym książkowym portalu i trochę mnie to ubodło. Wiem, to taki śmieszny żart, jesteśmy przecież zabawni i wyluzowani, a ja za bardzo się spinam, ale... takie żarty tworzą naszą mowę. Mowa tworzy myślenie, a myślenie to po prostu to, jakie mamy zdanie o jakiejś grupie. Jeśli postrzegamy ją jako „uroczy dodatek”, który ma się uśmiechać i wyglądać tak, a nie inaczej, trudno, żebyśmy brali tę grupę zupełnie na poważnie. A reprezentantki grupy, które nie chcą/nie mogą się w tę estetykę wpisywać, są traktowane z niechęcią. Brzmi znajomo? Wspominanie o prawach tej grupy to głupota, mydlenie oczu, zajmowanie się tematami zastępczymi. Wanda Krahelska, działaczka społeczna II RP, jedna z najbardziej znanych członkiń Organizacji Bojowej

PPS, w czasie wojny pomagała Żydom. Wanda Gertz w męskim przebraniu służyła w I Brygadzie Legionów Polskich. Nie dlatego, że lubiła się przebierać. Dlatego, że robienie czegoś innego niż posiłki w I połowie XX w., gdy było się kobietą, wymagało sporo samozaparcia. Maria Dulębiana (podobno partnerka Marii Konopnickiej) chciała być polityczką, kandydowała do Sejmu Krajowego we Lwowie. Jednak jej kandydatura w 1908 roku została odrzucona. Miała talent malarski, ale jako kobieta nie mogła studiować w Polsce, wyjechała więc uczyć się za granicę. Były też: Justyna Budzińska-Tylińska, Zofia Moczydłowska, Zofia Sokolnicka, Paulina Kuczalska-Reinschmit, Irena Krzywicka, Kazimiera Bujwidowa (to dzięki niej dziewczyny mogły studiować!) i wiele innych. A większość z nas zna tylko Marię Skłodowską-Curię i Zofię Nałkowską, które owszem były wielkie, ale nie jedyne. Witkacy w „622 upadkach Bunga” pisze o intelekcie kobiecym, który, opanowawszy Russela, Corneliusa i indyjską mitologię, odmawia posłuszeństwa. Dlaczego? Bo należał do kobiety, istoty pustej wewnątrz. Fryderyk Nietzsche powiedział kiedyś: „Idziesz do kobiet, nie zapomnij bicza!” Ten sam filozof mawiał: „Szczęście mężczyzny brzmi: ja chcę. Szczęście kobiety: on chce”. Może, sto lat po wywalczeniu dla nas praw wyborczych, najwyższy czas takie mądrości (przy niewątpliwiej wielkości autorów) włożyć między bajki?

Źródła:

A. Górnicka-Boratyńska, *Staliśmy się sobą. Cztery projekty emancypacji (1863-1939)*.M. i M. Skwarkowie, *Rodowód demonicznej kobiety*, w: „Dialog”, nr 12, 1994 r.<https://histmag.org/Matki-Niepodleglosci-8-kobiet-o-ktorych-warto-pamietac-15969> [dostęp dnia 16.11.2018]Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Justyna Solowiej – *To twoje LIFE*, 2015

ZOFIA DROZD Z DOMU MAZUR

Mój brat podporucznik

Jestem jedną z ośmiorga rodzeństwa, zaznaczam, że w tej chwili jedyną żyjącą. Brat Stanisław był najstarszy, urodzony w 1914 roku, ja, Zofia, urodziłam się 15 maja 1933 roku.

Pierwsze moje zetknięcie z bratem, które pamiętam, to lato 1938 roku, kiedy rodzice i starsze rodzeństwo poszli do pracy w polu, brat Stasio opiekował się mną i młodszą siostrą Michaliną, która miała 2,5 roku. Dobrze pamiętam, jak brat robił nam kanapki na podwieczorek i Michasia nie wzięła od niego, bo go nie znała i ja byłam pośrednikiem.

Następne moje wspomnienia to styczeń 1939 roku. Śnieżna, zimna noc, spałam, kiedy mama nas obudziła, bo brat Stasio został przywieziony przez mojego tatę z Jarostawia, to jest 10 km od naszej miejscowości Rożwienica. Brat miał duże bagaże, ogromne walizy, jedna była granatowa, druga brązowa i jeszcze taka mała walizeczka, jakby dziś powiedzieć – „dyplomówka”. Nawet wiem, co w niej było: ładnie ułożone chusteczki do nosa i obok przybory do golenia. Osobno były narty, buty oficerki i inne. Było tego dużo, co najbardziej pamiętam to dużą bombonierę związaną czerwoną wstążeczką, a w niej dużo cukierków w papierkach i nadziewanych. Mama roznosiła nam garściami te cukierki – to była wielka radocha, bo przyjechał nasz brat jako oficer wojska polskiego. Na drugi dzień ubrany był w koszulę wełnianą w kratkę czerwono-biało-chabrową i pulower, który był dwustronny, na jednej chabrowy, a na drugiej czerwony. Więcej nie pamiętam ubioru, ale wziął narty i poszusował w odwiedziny do rodziny na drugie wioski, z czego byli tam bardzo zadowoleni, później ciągle wspominali te odwiedziny.

Jak brat odjeżdżał, nie pamiętam. Jedno mi się przypomina, że siostrze, Stefci, która miała 20 lat, przysłał pieniądze na ładną torebkę, która była – to pamiętam – brązowa i jeszcze za resztę kupiła sobie parasolkę – bardzo się cieszyła.

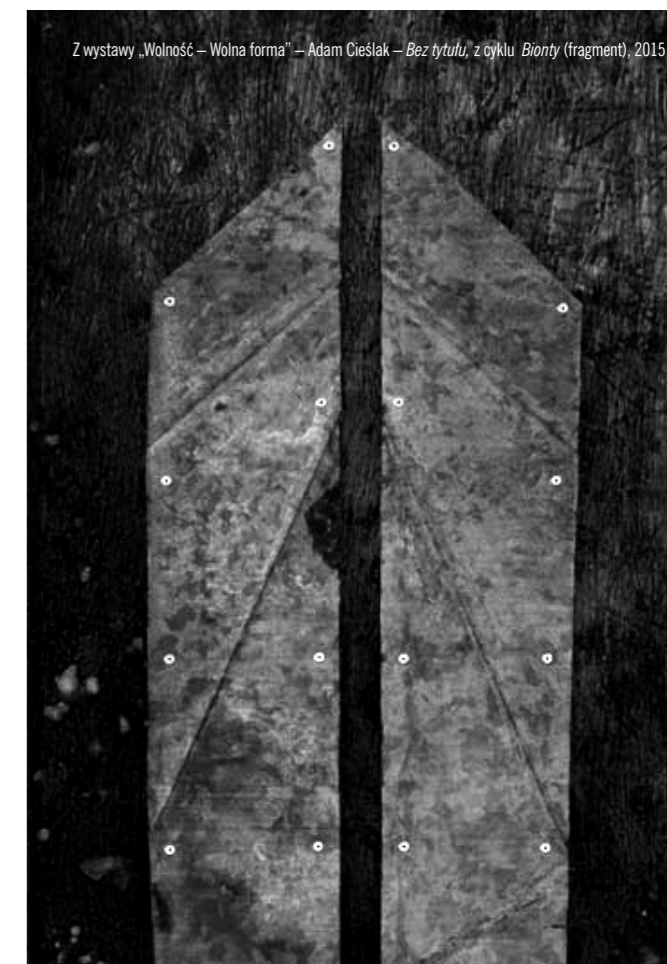
Jesienią 1939 roku przyszedł list od brata i u góry pisało „Kozielsk”, a niżej: „Kochani Rodzice” i dokładnie pamiętam, co pisał: „Jestem zdrow i cały, dostałem się do rosyjskiej niewoli, a kolega Stasiek został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej”. Więcej nie wiem, co było tam napisane. Myślę, że musiałam ten list czytać w późniejszych latach, bo dziś pamiętam dokładnie te słowa i piękny charakter pisma. A mama po przeczytaniu listu stwierdziła: „Dobrze, że Stasiu wybrał w gimnazjum język dodatkowy – rosyjski, teraz w niewoli może się dogadać ze strażnikami”. Na list mama odpisała, ale od brata już więcej listów nie było. Ten list od mamy był przy nim, kiedy Niemcy go wykopali w 1943 roku.

Latem 1943 roku była niedziela, kiedy ja biegałam po podwórku, a brat Genek,

który miał wtedy trzynaście lat, przyniósł gazetę. W takiej czarnej ramce było napisane: Podporucznik Mazur Stanisław, syn Jana, Rożwienica, poczta Wystrowice. Znalaziono przy nim list z tym adresem i drewniane wieczko od szkatułki z wrytymi inicjałami S.M.

Mama często przy różnych okazjach płakała, ale mówiła, że może to nieprawda, że on może wyjechał z Andersem. Jeszcze zaznaczam, że ten ranny w walce kolega po wojnie odnalazł się w Anglii, a nasz brat zdrów i cały w okropnym dole.

List przysłany z Kozielska i zdjęcie brata Stanisława zostały wysłane do Warszawy w latach 90-tych do muzeum.

Z wystawy „Wolność – Wolna forma” – Adam Cieślak – *Bez tytułu, z cyklu Bionty (fragment)*, 2015

ANITA ROMULEWICZ

Chłopiec mimoza i duroczka

On, cichy i delikatny, swoim wybitnym talentem pianistycznym oczarował świat. Ona, wulkan energii, dzięki determinacji i sile potrafiła wpłynąć na losy innych. Artur Rubinstein i Emilia Sukertowa-Biedrawina, bo o nich mowa, byli dwójką praktycznie obcych sobie ludzi, których pierwsze lata życia przypadły jednak na ten sam czas i przestrzeń. I to właśnie te, a nie inne, specyficzne warunki ukształtowały ich młodzieńcze osobowości oraz wpłynęły na dojrzałe już patriotyczne postawy.

Oboje urodzili się niemal tego samego dnia, zimą 1887 roku. Artur – 28 stycznia, Emilia dzień później. On przyszedł na świat w wielodzietnej, zamożnej rodzinie żydowskiej, ona – z pochodzenia Niemka, była najstarszą z rodzeństwa i jedyną córką bogatego przedsiębiorcy. Rodziną Łódź zapamiętali jako miasto o dwóch twarzach. Rubinstein opisywał je po latach w swoich pamiętnikach – z jednej strony jako bajeczne, tętniące życiem, takie, jakim mogło go tylko widzieć dziecko otoczone miłością i komfortem; z drugiej jako hataśliwy, skrajnie niezdrowy moloch, wabiący tysiące ludzi perspektywą zdobycia fortuny dzięki technicznemu postępowi i rewolucji przemysłowej. Łódź, podobnie jak i stolica Polski, nieistniejąca formalnie na mapach, w tym okresie znajdowała się pod zaborem rosyjskim. Jak podkreślał Rubinstein, „położona nieopodal Warszawy, była Łódź najmłodszym, a mimo to drugim co do wielkości miastem Polski. Mniej więcej w połowie XIX wieku car Mikołaj I, dążąc do stworzenia nowoczesnego przemysłu wełnianego i bawełnianego, zaczął sprowadzać niemieckich mistrzów tkackich ze Śląska. (...) Przyciągani obietnicą nowych bogactw, z całego kraju do młodego miasta ściągali Żydzi. (...) Łódź stała się obok Moskwy największym ośrodkiem przemysłowym w cesarstwie. [Mimo to] rodzima ludność polska niewielkie przejawiała zainteresowanie tymi ogromnymi możliwościami. (...) I tak wkrótce – choć brzmi to jak paradoks – Łódź przekształciła się w obce miasto w samym sercu Polski”.

Również dla młodzieńczej Emilii Zachertówny rodzinne miasto zdominowane było przez reżim carski. Owszem, wpajano jej do głowy, że trzeba kochać Polskę. Ale, jak sama przyznawała, „wówczas jeszcze nie umiała sobie uprzytomnić czym właściwie była ta Polska. Na mapach nie istniały jej granice. W szkołach historii Polski nie uczono”. Co więcej, szkół polskich nie było, a istniejący już od dłuższego czasu proces rusyfikacji i wynaradawiania Polaków został zaostrozony po nieudanych powstaniach styczniowym i listopadowym. Rozporządzenie generała-gubernatora wileńskiego z 1868 r. wprowadziło też zakaz prowadzenia rozmów w języku polskim we wszystkich miejscach publicznych. Zapanował ogólny niepokój, a raz po raz wybuchały zamieszki na tle narodowościowym i wyznaniowym. W pamięci kilkuletniego Artura Rubinsteina wracającego ze szkoły wyrzył się epizod krwawej pacyfikacji uczestników konduktu pogrzebowego idącego główną ulicą Piotrkowską: „Nie wiadomo skąd pojawiło się mnóstwo żandarmów, którzy z obnażonymi szabłami wdarli się w tłum i zaczęli siec przechodniów”. Dla dziecka, które już na zawsze miało mieć „oczy wypełnione

widokiem tych okropności”, wszystko co carskie stawało się zniechęcające i budziło strach.

Dzieciństwo i dojrzewanie Artura i Emilii pod zaborem rosyjskim wypełnione było ściśle praktykami pedagogicznymi dyktowanymi przez, cieszących się złą sławą wśród Polaków, „oświatowców”: Hurko, Apuchtina i Ilovaysky’ego. Iosif Hurko, jako zaciekle zwolennik rusyfikacji z potężną władzą generała-gubernatora warszawskiego, rugował język polski jak tylko mógł, skupiając się na szkołach i urzędach. Aleksandr Apuchtin, wówczas rosyjski kurator warszawskiego okręgu szkolnego, zgodnie z wytycznymi władz, bezwzględnie wdrażał reformy programów szkolnych, dzięki którym młodzi mieli wyrastać na ślepo wpatrzonych w Rosję i cara, a przede wszystkim czuć respekt przed władzą. We wspomnieniach Emilii Sukertowej znajduje się zapis mówiący, że nawet wśród najmłodszych dzieci „donosicielstwo władzom carskim było bardzo rozpowszechnione”. Rusyfikatorski system szkolnictwa opierał się bowiem na systemie policyjnym, który nie tylko zachęcał, ale i promował donosy i tzw. szpiclowanie innych uczniów. To również Apuchtin wprowadził osławioną, pięciotomową „Historię Rosji” Dmitrija Iłowajskiego jako obowiązujący w całym zaborze podręcznik do nauki historii. O ile samo dzieło przyniosło autorowi znaczny dochód i tytuł „najbogatszego historyka”, o tyle dziś badacze oceniają ową reformę jako destrukcyjną. Aleksandra Apuchtina obarcza się natomiast odpowiedzialnością za ogólny spadek liczby szkół i upadek kultury polskiej w Kongresówce oraz wzrost analfabetyzmu.

Pierwsza do szkoły posłana została Emilia, która pisała w pamiętnikach: „W siódmym roku życia [1894] rodzice oddali mnie na pensję prywatną. Miała ona trzy oddziały i cztery klasy. Do najniższego oddziału uczęszczali także chłopcy (...) na korytarzach ściany zdobity napisy: „Uczenicy dołżny mieźdu saboj razhawariwat’ pa ruski”. Był również w użyciu zeszyt, gdzie należało zapisywać nazwiska »niesformych« dzieci rozmawiających po polsku”. Małego Artura, którego już wówczas uznano za uzdolnionego muzycznie, posłano do tej samej szkoły tuż po pierwszym publicznym występie 14 grudnia 1894 r. Przełożoną pensji była Maria z Tukalskich-Nielubowiczów Berlachowa, według opinii Sukertowej kobieta „godna, wartościowa i dobra patriotka”. Syn Marii i Gustawa Berlachów – Teodor, także rówieśnik Emilii i Artura, zapisał się w późniejszych latach jako podpułkownik kawalerii i żołnierz Powstania Warszawskiego.

Łódzka pensja Pani Berlachowej, założona w 1886 r. mieściła się przy ul. Ewangelickiej 551 (dziś ul. Piotrkowska 146), a więc zaledwie kilka przecznic od domu Rubinsteinów przy ul. Piotrkowskiej 78. Pensja ta należała, obok szkół elementarnych pań Schmidt, Wolnickiej, Waszczyńskiej i kilku innych, do najbardziej znanych i cenionych. Początkowo były to szkoły jedno- lub dwuklasowe, które natychmiast po rozpoczęciu działalności uaktywniały starania o zwiększenie liczby oddziałów (klas). Świeżo upieczona uczennica tak zapamiętała spotkanie z małym geniuszem: „W najniższym oddziale w ławce ze mną posadzono chłopczyka mimozę. Wprowadziła go do klasy przełożona

w asyście wytwornej pani i bony. Chłopczyk, choć rok starszy [do klasy trafił dopiero w styczniu 1895 r.], był drobniejszy ode mnie, miał bardzo delikatną, białą cerę, włosy złociste z rudawym odzieniem i jakieś dziwne, melancholijne oczy. Był bardzo nerwowy i płochliwy. Kiedyś, gdy go w klasie nie było, przełożona zapowiedziała nam, żebyśmy odnosili się do niego delikatnie, bo on jest inny niż wszyscy. Bardzo ładnie gra na fortepianie i będzie z niego wielki artysta. Odtąd zaczęliśmy spoglądać na niego z szacunkiem, choć nie bardzo wiedzieliśmy jeszcze, co to znaczy »wielki artysta«. Imponował nam też tym, że z odprowadzającą go boną rozmawiał po francusku. Chłopczyk nazywał się Artur Rubinstein. ...”

Tymczasem szkolne początki Artura nie należały do przyjemnych: „Zaczęto od nauczania nas szybkiego odklepywania oficjalnych tytułów cara i carskiej rodziny: »Jego Cesarska Mość, Samodzierzca Wszechrosji, Król Polski, Wielki Książę Finlandii itd.« oraz śpiewania rosyjskiego hymnu państwowego. Nienawidziłem tego, buntowałem się przeciwko narzucaniu mi czegoś równie obcego. W domu mówiliśmy po polsku, byłem Polakiem. Znamienne, jak bardzo ta nienawistna atmosfera szkoły uświadomiła mi, że Kocham Polskę. Po południu z siostrą Franią odbywałem lekcje języka polskiego, które były dla mnie źródłem wielkiej radości”.

Tytuły domu carskiego dzieci musiały znać już w oddziale pierwszym. Mała Zachertówna pamięta, że uczono tego na lekcjach języka rosyjskiego przez cały rok, jak i „wbijano do łepetynek modlitwę w języku cerkiewno-słowiarskim. Pamiętam ją do dnia dzisiejszego: »Prebłagi gospodi nie spasiłi nam błogat’ ducha twajewo swiatowo (...)«. Modlitwę tę odmawialiśmy codziennie przed lekcjami, a podobną po lekcjach”. Artur dodaje: „w szkole czulem się nieszczęśliwy, bo musieliśmy sobie wszystko przyswajać zbyt mechanicznie, nigdy nie wkładając serca w to, co robimy. Jednak nauczyłem się mówić po rosyjsku, a także po niemiecku, którym to językiem wszędzie wokół mnie się posługiwano. Razem z rodzimym, polskim, znałem więc już trzy języki”. I tak jak nieznośny dla młodych uczniów był surowy rygor szkoły, a przy tym lektury narzucane przez władze, tak atrakcyjne zdawały się wszystkie potajemnie czytane książki i emocjonujące opowieści bliskich. Właśnie w takiej konspiracyjnej aurze rodziły się sentymenty do wszystkiego co polskie.

Zarówno w domu państwa Rubinsteinów, jak i Zachertów dzieci wychowywane były w towarzystwie guwernantek, ciotek, krewnych i ukończonych dziadków. Na wczesną edukację Artura silnie oddziaływały spotkania z dziadkiem Heymanem, ojcem mamy, który nie tylko dbał o pielęgnowanie w domu tradycji żydowskich, lecz także, mimo ciężkiej choroby, spędzał z wnukiem wiele czasu na niezwykłych opowieściach i grze w karty. Szacunek do książek i wiedzy niewątpliwie wpoił chłopcu ojciec swoją badawczą postawą i zamilowaniem do rozmyślań. Toteż naturalnym było, że Artur sięgał chętnie po książki, szczególnie w tych trudnych dla dziecka chwilach, gdy dziadek umarł, a przed nim najbliższa przyjaciółka i towarzysząca zabaw – kilkuletnia Noemi. Po latach Rubinstein wspominał: „pożerałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Do moich najulubieńszych należały powieści Sienkiewicza i Juliusza Verne’a, baśnie i książki historyczne, a także życiorysy sławnych ludzi. Wszystko z wyjątkiem poezji”. Uciekając w świat baśni, już jako kilkulatek, mały Artur wyobrażał sobie, że fabryki w Łodzi to zamki ze wspaniałymi wieżami, przechodnie na ulicach to poprzebierani książęta i księżniczki, a carscy stójkowi to... potwory. Z kolei na matę Emilję i jej wyobraźnię wpłynęła babka macierzysta, jak ją nazywała. „Za młodu pisała wiersze, szczyliła się

tym, że była ulubioną uczennicą Stanisława Jachowicza, autora licznych wierszyków dydaktycznych. Otrzymałam od niej kilka książeczek z bajkami Jachowicza”. To dzięki książkom z domowej biblioteczki miała dostęp do powieści Ignacego Kraszewskiego, z których poznawała historię Polski i polskich królów. „Ci królowie – wspominała – byli dla mnie jakby symbolem Polski”.

Szkolne drogi Artura i Emilii rozeszły się już po roku. Na szkarlatynę zmarła wspomniana już Noemi Heyman, nazywana Nemutką. Rubinstein do końca życia pamiętał ten czas jako traumatyczny: „Stałem się nerwowy i nieposłuszny, nie chciałem jeść, stroniłem od domowników, a w szkole prowokowałem bójkę z chłopcami. Nikt nie był w stanie nakłonić mnie do grania na fortepianie dla przyjemności. (...) Rodzice byli coraz bardziej zaniepokojeni moimi ponurymi rozmyślaniami i niechętnym stosunkiem do szkoły”. Sukertowa-Biedrawina we wspomnieniach napisała, że małego geniusza: „przeniesiono do »męskiego« zakładu naukowego, ale od czasu do czasu przełożona albo nauczycielki opowiadały o Arturku, który rozpoczął karierę cudownego dziecka”.

Ostatecznie rodzina Rubinsteinów zdecydowała się wysłać syna do wdowy Glass, krewniej z Warszawy. Pomimo rozłąki z rodziną, chłopiec spotykał się z polskimi rówieśnikami i brał prywatne lekcje po polsku, które „ciekawily go niezmiernie”. Czytał namiętnie zakazane książki o historii Polski, podobnie jak epicką Trylogię Sienkiewicza. Już wtedy to, co polskie inspirowało go do pracy twórczej i sprawiło, że z entuzjazmem zabierał się do pracy. Jak napisał Rubinstein we wspomnieniach: „Wszystko to było dla mnie nader podniecające”.

Gdy w 1900 r. zmarł Hugon Zachert, ojciec Emilii, matka Wiktorii również zabrała dzieci z Łodzi do Warszawy. Emilia zamieszkała wówczas z babcią Gundelach i została uczennicą II Gimnazjum Żerńskiego, którego dyrektorką była Maria Pietrowna Lebediewa. Wpisywana do tzw. „dużego dziennika”, gdzie rejestrowano narodowość uczennic, bez pytania została zaklasyfikowana jako Niemka. „Kiedy to spostrzegłam – pisała w pamiętnikach – zaprotestowałam bardzo grzecznie, ale stanowczo – bowiem jestem Polką.

– Ależ, dusza moja, czego protestujesz, przecież jako Niemka korzystać będziesz z przywilejów, jakimi cieszą się Rosjanki. Jesteś protestantką (...)

– Ja dziękuję za przywileje – odparłam.

– Uch, ty duroczka. ...”

I tak jak Artur, Emilia „wielbiła” Sienkiewicza. „Krzyżaków” uczyła się na pamięć i marzyła, aby wędrować śladami Juranda i zobaczyć zamek w Szczytnie. Jako gimnazjalistka pisywała młodzieńcze poematy i dramaty inspirowane dziejami Polski. By ułatwić pracę guwernantkom, tłumaczyła nocami podręczniki francuskiego na język polski i redagowała piśmisko humorystyczne, które nazywała „Nocnikami”. Wszystko to obok zniechęcającego programu szkolnego, gdzie przeszłość Polski wydawała się jej tym bardziej pociągająca, im bardziej traktowana była po macoszemu. Ta pasja pozostała z nią do końca życia. Rubinstein też podkreślał, że to właśnie w dzieciństwie to, co polskie, wyróżniające się autentycznością, nabrało dla niego nieodpartego uroku i stało się źródłem natchnienia na lata.

Artur Rubinstein, *Moje młode lata*, Kraków 1976.

Emilia Sukertowa-Biedrawina, *Dawno a niedawno. Wspomnienia*, Olsztyn 1965.

